

# Dekada Literacka

Kraków

9 II 1991 r.

Tygodnik

Nr 11

## Dokąd (z nami) idziesz, Panie?

Milan Rufus

Milan Rufus — urodzony pod Tatrami Słowak, zakochany w swojej ojczyźnie. Niezależny, samotniczy 63-letni poeta jest autorytetem moralnym nie tylko w swoim kraju. W swojej twórczości ostrzega przed poddawaniem się presji ideologii, uleganiem cywilizacyjnym pokusom, rozluźnianiem więzów ze starą, rodzimą kulturą słowacką.

Jego poezję przybliży Polsce Danuta Abrahamowicz — w 1977 roku ukazał się bogaty wybór poezji Rufusa pt. „Wiersze”, właśnie w jej tłumaczeniu. Dla naszej „Dekady” p. Abrahamowicz przetłumaczyła także esej poety o jego ojczyźnie — Słowacji.

Z trudem i niechętnie mówię o tych sprawach. Nie chciałbym popaść w elegijny ton, ale cokolwiek chciałoby się powiedzieć na ten temat, znów będą to, bo nie może być obiektywnie inaczej, stare sztuczki „Skargi i żale”. Powracające, nie zamknięte po dziś dzień. Skamieniały dziewiętnasty wiek. Nieustanna recydywa dziecięcej ospy wietrznej. Już nawet nie dziwi mnie, że ci, którzy trochę zobojętnieli na losy narodów, wołają w tej chwili z irytacją: dajcie spokój, świat ma dziś inne problemy! Lecz my nie będziemy mieć sił, aby podążać za światem, dopóki nie dotworzymy siebie. Żadne z żywych stworzeń nie może przekroczyć własnego ciała. Z tym dylematem przez całe lata wisimy jak muszka w pajęczynie.

**Twarz czy maska**  
Ciągnie się to za nami jak stygmat. Już Stūr to dźwigał: Europejczyk, humanista, ale Słowak. Pełen nadziei wyciągnął rękę do demokratów węgierskich, ale Kossuthowcy nie przyjęli jej i syknęli: nie jesteś ani narodem, ani człowiekiem, a demokratą zostaniesz, jeżeli wyprzesz się samego siebie! Nie mógł tego uczynić, skoro był autentyczny. Odrącony przez obóz postępu, na zasadzie działania nieomal praw fizyki, znalazł się w pobliżu wiedeńskiego dworu. A dwór grał nim przeciw Budapesztowi niczym trzecią kartą, która choć w polityce tak wywiechtana, to jednak stała się swoja wartość, bo świat, jak świat światem, niewiele się zmieniło. Ale historia już wtedy powiedziała sobie, że przez

wiedeński dwór na przelaj nie pójdzie.

Potem jakby to już do naszych losów przylgnęło. Punkt kulminacyjny stanowiło państwo słowackie, gdy nami w charakterze trzeciej karty — walet też czasem bywa dobry — zagrał hazardzista Hitler. Brud po jego palcach musiałoby zmywać krwią siedemdziesiąt tysięcy ludzi, którzy zginęli w powstaniu. Więc jak to jest: postępiec odrąca, a automatyzm tego gestu, jeśli nie będziesz dość czujny, pchnie cię w kierunku reakcji, za którą postępiec potem będzie cię karać? Zmusza to do zadania jeszcze innego pytania: czy postępiec, który walczy dla siebie o to, czego odmawia słabszym — jest naprawdę postępiec? I czym jest w ogóle tak zwany postępiec w historii? Czy to twarz, czy maska? Jest to chyba i twarz, i maska.

Taką grę uprawia się zwykle na balach maskowych. Tę jednak odgrywamy śmiertelnie poważnie: twarz, a na niej, diabli wiedzą czemu — maska...

### Słowaków

#### Bledziutka gwiazda

Boże mój, wybacz, ale czasem wydaje mi się, że doświadczając ten swój lud przeholujesz i stawiasz na jego słabości nazbyt precyzyjne siła. Je-

(CIĄG DALSZY NA STR. 4)

Milan Rufus

## OT, TAK

Ot, tak

i stale trzy dni przed stworzeniem jest ten mój naród.

Gruda poczęta

przez historię i w brzuchu jej z upokorzeniem przenoszona.

I bez znaczenia jest, pamiętaj, i żal, i gniew, mój ty milczący gracz.

I tylko ślepy los potrafi tak uderzać.

Tak niewidomo cię, że w płaczu nawet nie szukaj ulgi. A ból sensu nie ma...

A temu niżej, temu od drzewa, da gąbkę octu, zupki kwaśnej.

Da chleba, który od otrąb jak piasek się sypie podczas łamania.

Ot tak, ot tak.

Na jego śmiesznej heraldycznej lipie ćwierkają sobie wróble hoże.

Nie troszczysz się o niego już ani Ty, Boże. I zapominasz.

## „Gęby za lud krzyczące”

Stanisław Stabro

„Gęby za lud krzyczące sam lud w końcu znudzą.

I twarze lud bawiące na końcu lud znudzą.

Ręce za lud walczące sam lud poobcina.

Imion miłych ludowi lud pozapomina.

Wszystko przejdzie. Po huku, po szumie, po trudzie.

Wezmą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie”.

W ferworze walk politycznych, w trakcie zmian zachodzących w Polsce w ciągu ostatnich kilkunastu lat zapomnieliśmy o tej gorzkiej prawdzie zapisanej przez Adama Mickiewicza już w 1833 roku.

Na obecną sytuację inteligencji polskiej złożyło się szereg historycznych a nie tylko współczesnych czynników. Przyjmując ten termin w takim rozumieniu, w jakim przyjmuje go większość socjologów, czyli jako synonim szczególnej grupy społecznej charakte-

rystycznej dla środkowo-wschodniej Europy. Szczegółowe uściślenia wymagałyby bowiem innego artykułu.

### Idealizowanie ludu

Jednym z powodów subiektywnie odczuwanej obecności przez tę grupę deprecjacji społecznej, czego doskonałym przykładem jest np. tekst Marty Wyki pt. „Głos z marginesu”, zamieszczony na łamach 7 numeru „Dekady Literackiej”, było długotrwałe, historycznie rzecz biorąc, wynikające z wielu powodów idealizowanie bliżej nie sprecyzowanego „ludu”. Oczywiście o takiej postawie zdecydowały same dzieje. Idealizacja ta była spadkiem po legendzie kolejnych, dziewiętnastowiecznych powstań. Związana była także ze „złym sumieniem” części szlacheckiej klasy „wysadzonej w siodła”, z której rekrutowała się przecież na początek przyszła inteligencja. Od Marii Konopnickiej po Marię Dąbrowską idealizowano ów lud jako krynicę mądrości, jako źródło wszelkich moralnych cnót. Krytyczne tony w piśarstwie np. Stefana Żeromskiego („Rozdziobią nas kruki, wrony”, „Wierna rzeka”) oraz dwuznaczne fascynacje Stanisława Wyspiańskiego nie zmieniają istoty sprawy. Jest rzeczą interesującą,

że już w twórczości pozytywistów, w literaturze twórczoj zasadniczo przez pisarzy pochodzenia szlacheckiego porzucił ów ton klasowej chęć powiedzieć po marksistowsku samo krytyki. Jaś, który nie doczekał, był w tej literaturze zawsze pięknym wyrzutem sumienia absolutistów coby, europejskich uniwersytetów i absolutentek instytutów dla dobrze urodzonych panien.

W ten sposób miejsce realności zajmował fantom kultury obciążonej grzechem „anielstwa”. Zamiast obrazu normalnego społeczeństwa charakteryzującego się grą wewnętrzną sprzecznych interesów, dążnościami wewnętrznymi wykluczającymi się, zamiast „demosu”, dla którego nie zawsze sfera ideału była przestrzenią najważniejszą, mieliśmy do czynienia, szczególnie w literaturze drugiej połowy XIX wieku, bo uwagi te dotyczą także w jakiś sposób i Elizy Orzeszkowej i Henryka Sienkiewicza, z wygodnymi dychotomiami. Prometejska, mesjanistyczna szlachta i poczciwy „lud”, uciskający zaborca i ogarnięty przemożną ideą walki bohaterski „lud”. Z braku miejsca trudno mi rozwijać tutaj ten wątek jak i świadom jestem równocześnie czynionych tu uproszczeń dla uwypuklenia mojej głównej idei. Jak bardzo jednak powyższe stereotypy zakorzeniły się w naszej świadomości świadczy i język współczesny. Na przykład frazesy, które pojawiły się w okresie stanu wojennego w rodzaju „społeczeństwo walczące z komuną”, „powszechny opór” itp.

### Szok inteligencji

Właśnie ta idealizacja „demosu” tak ściśle związana z naszymi dziejami i historią naszej kultury, prowadząca do nieznajomości własnego społeczeństwa i różnych stron jego zbiorowego charakteru powoduje, że dzisiaj inteligencja nie może otrząsnąć się z szoku. Ze w gruncie rzeczy nie bardzo rozumie co się nagle stało, że w skrajnej wersji wciąż wciąż kategoriami „rządu dusz”, czego bynajmniej osobiście nie potępiam, a trudno jej przestawić się na myślenie w kategoriach konieczności modyfikacji swojej społecznej roli. Jej dzisiejsza bowiem deprecjacja jest paradoksalną konsekwencją pewnych procesów historycznych. Jest skutkiem tragedii ostatnich stuleci, kilkunastu lat, kiedy to w państwach zachodniej Europy dla ich prawidłowego rozwoju nie potrzebna była postszlacheckiej inteligencji cierpiącej za wyimaginowane winy przodków oraz własne, w dodatku podświadomie sytuującej się w gorszej wobec „ludu” pozycji. W tamtych społeczeństwach jasno określonych ról miał swoje miejsce proletariatus, kapitalista i burgeois. My w tym czasie mieliśmy chłopów odzierających kolejnych powstańców i samotnie cierpiącego, szlacheckiego rewolucjonistę.

W sytuacji, jaka się wytworzyła w ciągu ostatnich dwustu bez mała lat, inteligencja ze względu na zasadniczą rolę, jaką skądinąd odegrała, miała prawo do wyjątkowego prestiżu i uznania

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

# „Gęby za lud krzyczące”

(CIAĞ DALSZY ZE STR. 1)

w oczach narodu. Dzisiaj jednak ów spadek przeszłości oraz patrzenie na społeczeństwo w dychotomicznych kategoriach dobra i zła, powstańców legend, całego tego balastu zanadto przenikniętej „anielmstwa” i martyrologią tradycji czyni inteligencję współczesną bezbroną wobec agresji, jakiej ostatecznie padał ofiarą. Tkwiąca przez dziesiątki lat w nienormalnej, z punktu widzenia rozwoju cywilizacyjnego, sytuacji nie miała okazji brać udziału w normalnej grze politycznej. Zmuszona do pełnienia funkcji „sumienia narodu”, utwierdzana w tym przez mistyfikowane dzieje ojczyzny („Jeden tyłko, jeden cud, z szlachtą polską polski lud”) zapomniawsza o historiozoficznej i, chociażby się powiedzieć, socjotechnicznej przenikliwości wiersu Mickiewicza: „Ręce za lud walczące, sam lud poobcina”.

## Inteligencja — wróg ludu

Tym bardziej, że także myśl liberalnej i demokratycznej lewicy, tylko z innych już pobudek, idealizowała proletariat, lud itd. Komunizm zaś uczynił go klasą najważniejszą w państwie i hegemonem historii. Intelktualiści i inteligencja związana z tymi ruchami ideowymi przyjęły w dużej mierze ten punkt widzenia za własny, znów podświadomie sytuując się w gorszej wobec społeczeństwa pozycji. Lata panowania komunizmu w Polsce skutecznie wbiły do społecznej podświadomości zasadę, że nauczyciel, lekarz, profesor uniwersytetu to zawsze będą postacią cokolwiek podejrzaną, potencjalni wrogowie ludu, jak inżynier w socrealistycznej powieści. Nie mówiąc już o elicie twórczej, której najlepiej do twarzy za więziennym murem, lub wspólną, bezimienną mogiłą. Przykładów na to w Rosji znajdziemy aż nadto. Przed ludem w tym samym czasie otwierały się możliwości niezwykłych karier. „Nie matura, lecz chęć szczerą robi z ciebie oficera” to nie tylko komunistyczny slogan mający za zadanie schlebiać owemu ludowi.

Niezależnie od tego, że uświęcenie ludu i proletariatu miało w doktrynie komunistycznej częściowo cyniczny charakter, gdyż chodziło głównie o utrzymanie się przy władzy i rzecz sama w sobie miała charakter urzędowo panującej retoryki, to jednak ideologia tego właśnie rodzaju przygotowywała grunt pod obecną pogardę dla ta-

kich wartości samych w sobie jak edukacja, kultura itd. Nie mówię tu o sferze oficjalnej propagandy, która w tym samym czasie wynosiła pod niebiosy rangę wykształcenia. Chodzi mi o procesy głębinowe. Część inteligencji tych procesów nie chciała zauważać, mając w dodatku zakodowaną przez tradycję ową nieszczęsną idealizację „demosu” z zupełnie innej epoki. Część tej inteligencji, bo przecież znaczny jej odłam zginął z rąk niemieckich i rosyjskich, była z pierwszego pokolenia pochodzenia chłopskiego lub robotniczego. Tym bardziej była więc podatna na pewne mity i manipulacje. Z jednej strony fascynował ją ów XIX-wieczny wątek prometejskiego wyniesienia, z drugiej strony jednak przyjmowała milcząco założenie o swojej grupowej niższości i gorszości wobec ludu, z którego się w końcu wywodziła.

## Idealizacja „klasy robotniczej”

Kolejnym aktem współczesnego dramatu inteligencji była datująca się od początku lat siedemdziesiątych idealizacja w kręgu szeroko rozumianej opozycji bliżej niesprecyzowanego „społeczeństwa”, zastępującego w tym przypadku pojęcia ludu i narodu. Środowiska opozycji postrzegały to społeczeństwo jako monolit ożywiający jednymi, wspólnymi celami. Idealizując klasę robotniczą, podobnie jak to niedawno czynili komuniści, nie dopuszczały one do swojej świadomości, że społeczeństwo jako całość składa się z wielu grup, reprezentujących sprzeczne dążenia. W toku walki politycznej zacierając się świadomość, że na przykład interesy społeczne inteligenta i robotnika nie w każdej sytuacji będą tożsame.

Swoisty mesjanizm inteligenta, który wnosił on z sobą do środowisk skądinąd mu obcych, zaciemniał w jego świadomości fakt, że oprócz niewielu w końcu momentów tożsamości tych interesów, będzie wiele takich sytuacji, kiedy się one rozejdą. Prawdziwe rozpoznanie tych okoliczności dodatkowo utrudniał fakt bezkrytycznej idealizacji klasy robotniczej przez wielu intelektualistów z kompleksem inteligentkim, szczególnie w latach 1980–1981. To z tego okresu pochodzi wypowiedź jednego z najwybitniejszych polskich reżyserów filmowych, który oświadczył, że szczęściem dla niego byłaby posada szofera Lecha Wałęsy.

Ileż w akcie powstania KOR w 1976 roku było tych pierwiastków, któ-

re tu już sygnalizowałem! Był moment solidarności z ową idealizowaną „klasą robotniczą”, pierwiastek prometeizmu o dziewiętnastowiecznym rodowodzie. Ale także i coś z podświadomego, wzmówionego mu przez kulturę zawstydzania współczesnego inteligenta, że jego warsztatem pracy nie jest przysłowiowa tokarka.

Nie neguję tu bynajmniej wartości tego ethosu. Szczególnie jeżeli jego reprezentantami byli ludzie tej miarwy co Adam Michnik. Tymczasem tak jak monopolu na prawdę, sprawiedliwość, piękno i inne wartości nie ma wyłącznie inteligencja, gdyż jak powiada wieszcz: „Gęby za lud krzyczące sam lud w końcu znudzą”, tak nie ma go także żadna inna klasa, ani warstwa, ani grupa społeczna.

## Inteligent szuka „Ojca”

Szczególne rodzaju klęska, jaką sponosił w tej chwili w Polsce obóz demokratyczny, gwałtowny wzrost wpływów prawicy, jest częściowym skutkiem złudzeń żywionych przez środowiska inteligencji, szczególnie lewicowej, na temat przedustawnej dobroci i sprawiedliwości społeczeństwa, doskonałości przysłowiowej „natury ludzkiej” oraz tak zwanej sprawiedliwości historii, która powinna wynagrodzić w pierwszym rzędzie tych, co się walnie do zwycięstwa dobra przyczynili. Porażka ta jest też paradoksalną konsekwencją antyelitarnych mitów rozpowszechnianych w niedalekiej przeszłości i to nie tylko przez formację komunistyczną.

Autentyczny populizm, jako rodzaj filozofii skierowany przeciwko każdej formie autentycznej społecznej wyższości elit władzy, pieniądza, nauki, kultury, sztuki, nie wziął się z powietrza. Jeszcze w latach siedemdziesiątych jedną z najbardziej popularnych postaci ludowych właśnie kawałów był „docent”. A wcześniej, wbrew inteligentkiej legendzie o nieskażonym społeczeństwie, antyinteligentkie i antyzydowskie ekscesy w 1968 roku, pomiędzy którymi wielu słusznie położyło znak równania, także nie wzięły się znikąd, zyskując aprobatę szerokich kół. Myśląc w kategoriach narzucanych przez tradycję, a później przez pewne nurty współczesności, część inteligencji nie chciała tego dostrzec. Grunt pod obecną odrzucenie przez szeroko rozumiane społeczeństwo był długo przygotowywany.

Nie bez winy była tu sama inteligencja bezkrytycznie angażująca się w kolejne ideologie. Wciąż poszukująca razem z innymi autorytarnego Ojca. A to w postaci Partii, a to w postaci przywódców z kręgu opozycji, a to Kościoła. Wciąż manifestująca swoje podświadome poczucie niższości, niesamodzielna duchowo, zbyt łatwo uzależniająca się od różnych autorytetów. W ostatnich latach neurotycznie wynosząca na szczyty władzy ludowych przywódców, płatających jej na końcu zgrabne figle. Nie umiejąca w przesz-

łości stworzyć intelektualnej filozoficznej alternatywy moralności, władzy, historii, kultury i polityki na swój własny rachunek.

## Inteligencja odrzucona

Dzisiaj płaci za swoje złudzenia społeczną pogardą i odrzuceniem. Wewnętrzny dyskomfortem, poczuciem bycia na marginesie w sytuacji, gdy nikt nie ma prawa wchodzić jej takiego miejsca. A na pewno nikt z tych, którzy tak wiele jej zawdzięczając pokonali już wprawdzie „komunę”, ale nie do końca jeszcze uporali się z regulami gramatyki. I dziedziącą po obalonym przeciwniku dwuznaczny oraz pełen resentymentów stosunek do kultury. A stosunek ten bardzo przypomina, niestety, manieri z przeszłości. Ta sama różnica pomiędzy pozytywnymi werbalnymi deklaracjami a rzeczywistą niechęcią wobec wartości reprezentowanych przez inteligencję. I ta sama jej praktyczna deprecjacja a także narzucanie w życiu społecznym pewnych standardów kulturowych, stojących w opozycji do etosu omawianej tu grupy społecznej.

Dlatego wydaje mi się, że rzeczą najważniejszą jest w tej chwili wyartykułowanie przez inteligencję sprzeciwu wobec takich działań i obrona demokratycznych wartości. Nieuleganie kolektywnym kategoriom myślenia narzucanym jej przez niechęć kręgi społeczeństwa. Żadne państwo, ani żaden ustrój, w tym także demokratyczny, nie mogą istnieć przeciw bez tej grupy społecznej niezależnie od tego czy nazwiemy ją specyficzną wschodnioeuropejską inteligencją czy rodzajem warstwy społecznej, jak na Zachodzie.

Oczywiście rozdarta w polskich warunkach pomiędzy idealizacją społeczeństwa i przeszłości a poczuciem swojej wyższości i misji dziejowej, inteligencja nie będzie nigdy społecznie skuteczna. Dlatego, bynajmniej nie na marginesie, lecz w centrum obecnych demokratycznych przemian, bez poczucia fałszywej wielkości, ale i bez kompleksu fałszywej pokory wobec robotnika, chłopca i całej reszty, czeka tę grupę ponowne przemyślenie swojej społecznej roli, odrzucenie iluzji na temat mas i odtworzenie ethosu na miarę współczesnych warunków, nacechowanego pewną dozą pragmatyzmu. Pragmatyzm ten oznaczałby wyzbycie się politycznej naiwności wobec dotychczasowych sponsorów i mocniejsze zaakcentowanie w praktyce społecznej odrębności swoich interesów.

Profesjonalizm powinien stać się naszym ideałem w imię praktycznej skuteczności określonych wartości wpływających z tradycji. Ale także w imię tej roli, którą powinniśmy odegrać w przyszłości wbrew niechęci i nowym złudzeniom mas.

Styczeń 1991

Stanisław Stabro

## Co nowego w prasie?

W periodykach zajmujących się problematyką kulturalną ulubionymi formami wypowiedzi są dziś eseje, wywiady i wspomnienia. Niemodny natomiast stał się reportaż. W czasach PRL święcił triumfy, bo w warunkach działania cenzury umożliwiał — na przykładzie zapytanej prowincji i szarych ludzi — ukazywanie idiotyzmów i mankamentów „systemu”, a tym samym jego krytykę metodą pars pro toto. Metoda ta stała się zbędna w warunkach wolności, więc prestiżowe piśma straciły zainteresowanie dla realiów życia prowincji i zajmują się głównie bardzo poważnymi sprawami. Z prawdziwą satysfakcją odnotowuję więc dwa interesujące reportaże z najnowszej prasy:

Pierwszy z nich, pióra Iwony Jąkałskiej pt. „Czas rozrzuć kamieni” (ODRA, nr 1/91) po raz pierwszy łamie najświętsze od 45 lat tabu Polaków: z całą brutalnością ukazuje barbarzyństwo niszczenia niemieckich cmentarzy na ziemiach zachodnich, ujawnia najbardziej ohydne formy tej działalności — indywidualnej i instytucjonalnej. Fragment: *Żył też gdzieś w Polsce człowiek, który robił zdjęcia i zbierał materiały o budowie drogi. I stracił za to pracę. Bo droga była budowana z niemieckich nagrobków. Tylko ten jeden człowiek uznał to za rzecz niedopuszczalną. Dla innych była to rzecz zwykła. (Dodam nawiasem, że w ostatnich latach użyto m. in. niemieckich nagrobków do*

umocnienia brzegu Półwyspu Helskiego od strony Zatoki Puckiej, pomiędzy Kuźnicą a Jastarnią, J. L.). Autorka nie wahała się zestawiać naszych białych (zrozumiałych zresztą) nad stanem istniejących przecież cmentarzy Lwowa, Wilna itd., z naszym stosunkiem do cmentarzy niemieckich, najpierw sprofanowanych, potem całkowicie zlikwidowanych. Chwała jej za odwagę.

Drugi reportaż to „Odnaleźć własny czas” Lidii Wójcik (TEATR, nr 1/91 — ten żywo redagowany miesięcznik nie ogranicza się do tematyki ściśle teatralnej). Jest to obszerne i wielostronne obraz obecnego życia kulturalnego Lublina, ułożony mozaikowo z informacji dobrych i złych. Np.: antyzydowskie fobie i ożywienie gospodarcze, rozwój małych „scen alternatywnych” i wyrzucenie zasłużonych dyrektorów filharmonii oraz Wydziału Kultury, powstanie nowych pism i denny poziom Teatru im. Osterwy. Degrengolada tego ostatniego przy rozkwicie grup eksperymentalnych potwierdza cytowane tu przed kilku tygodniami przewidywania Jana Kotta, iż przyszłość teatru w Polsce to wysokiej klasy elitaryzm oraz popularna szmira — i nic w środku.

Także realiów współczesnej polskiej kultury (choć nie artystycznej) dotyczy „Traktat o

ślinie” Anny Garbatko (PO PROSTU, nr 4/91). Autorka obficie cytując różne polemiki przypominające raczej pomówienia i pyskówki z targowiska, po czym konkluduje: *Czytając wypowiedzi w tym rodzaju, zastanawiałam się skąd u ludzi pióra, polityków i publicystów ten rodzaj argumentów? A skąd to dowolne rzucanie oskarżeniami, także o manipulacje finansowe, i skąd pomówienia, wysuwane bez troski o konsekwencje prawne i zawodowe? Otóż mamy w Polsce taki wzorzec. Jest to późne zwycięstwo rzecznika Urbana. Zawsze myśleliśmy, że się nie przyjmie, i że kto jak kto ale my jesteśmy odporni. Pomyłka.*

Dla pokrzepienia serc nadwierzonych krytykanctwem, warto zwrócić uwagę na PROJEKT, jeden z najpiękniej wydawanych periodyków polskich, poziomem szaty grafi-

cznej nie ustępujący zachodnim piśmom poświęconym sztuce. W ostatnim numerze (3/90) znajdujemy m. in. bardzo ciekawy artykuł Ireny Huml „Polskie Art-deco — styl odzyskanej niepodległości”. Autorka przypomina w nim i analizuje niezwykle sukces, jaki w latach 20. osiągnęła polska plastyka w dziedzinie sztuki dekoracyjnej i wnętrza. Dość powiedzieć, że na międzynarodowej wystawie sztuki dekoracyjnej w Paryżu w 1925 r. Polacy otrzymali łącznie 172 nagrody na 307 wystawców. Artykuł ukazuje historyczne i artystyczne źródła tego sukcesu.

J. L.

PS. W poprzednim numerze w tej rubryce dowcipny chochlik zamienił słowo bigoteria na bigoterapia. Chochlik wiedział co robi. Istotnie, jest to coraz modniejsza terapia.

Tytuł szkicu Jerzego Jarzębskiego w poprzednim numerze „Za co kochamy Jana Błońskiego?” został w ostatniej chwili, a więc bez porozumienia się z Autorem, zmieniony przez redakcję. W oryginale brzmiał: „Ani słowa wbrew sobie”. Pech chciał, że przypomina on tytuł eseju Janusza Sławińskiego, wydrukowanego 10 lat temu w „Tekstach”. Autora i profesora Sławińskiego serdecznie przepraszamy!

Ks. Jan Kracik, ur. 1941, jest historykiem, profesorem Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie. Jego prace wyróżniają się wśród piśmiennictwa historiograficznego nowym, bardzo oryginalnym tonem. Autora szczególnie interesuje w minionych epokach życie szarych ludzi, ich kondycja psychiczna i etyczna, ich niedole i lęki. Problematyce tej poświęcone są m. in. książki: „Ludzie z przedmieścia historii” (historia miasta Kleparza) i „Gdy przez miasto szła dżuma” (dzieje epidemii w Polsce — z niej właśnie pochodzi poniższy fragment) przygotowane do druku w Wydawnictwie Literackim. Śródtytuły pochodzą od redakcji.

Wśród najbiedniejszych krakowian opuszczających latem 1710 r. zarażone miasto znajdował się i rajca Mikołaj Królik, kupiec, człek już 70-letni, mieszkający w Rynku, w kamienicy „Pod Murzyny”. Jechała z nim żona Krystyna, jej owdowiła siostra Agnieszka Koczankowiczowa, 18-letnia siostrzenica Katarzyna Słowakowiczówna, a także 3 służące i 2 pacholków. Zatrzymali się w swym majątku położonym milę od Krakowa, we wsi Trojedyn (dziś Trojanowice) koło Giebułtowa. Powietrze mieli zdrowe, ale bezpieczeństwa nie znaleźli. Rekwizycje wojsk rosyjskich walczących wraz z Augustem II przeciwko Szwedom dawały się we znaki również uchodźcom, którzy wszak z pustymi rękami nie opuszczali swych domostw. Z pomocą w opresji przyszedł szwagier Katarzyny, kierujący kancelarią Konsystorza krakowskiego Wojciech Krzyżński. Sam chronił się już przed zarazą dwukrotnie w ciągu ostatnich lat w Ten-

Powtórzyły się kłopoty z pochowaniem. Nikt nie chciał pomóc, „co żyło słono, i nie dziw, że nawet już ode mnie samego, bo każdemu miłe życie. Ale mogliby byli i usłużyć ostrożnie, choć z daleka” — uzalił się proboszcz. Najpierw więc gwoździł zabił wejście do budy, „aby ciała psi albo kocie nie naruszyły”. Nocą sam z ogromnym trudem układał zmarłą do trumny, a potem wioził i opuszczał do grobu. Usiadłszy wyczerpany odśpiewał jak po każdym kondukcie Salve Regina (...). A na ów pogrzeb, gdzie sam pełnił wszystkie funkcje, kazał pleban dzwonić. „Mawiają, że zapowietrzonym nie trzeba dzwonić, i parafianie poczuli o to szemrać, ale za gusła ja to sądziłem i dzwonić kazałem”, by jak zwykle wezwać do modlitwy za duszę. Ale też po to, „aby się Bogu korzyli i zebrali miłosierdzia i za tych zapowietrzonych i za siebie” oraz gwoli zaprzeczenia pogłoskom, „że potężnie zmiarają na plebanii, ale tają” (...).

„Jeszcze mi, Panie, pofolguj...”

A w Tenczynku niebawem służąca Katarzyna „zachorowała ciężko i womitoria duże cierpiąc do budy incej wyszła już gotowej malej, tylko na jej osobę, w polu pod sosienkami postawionej. Dymnica się jej wydała, ale jako powiadała niewielka, i z łaski Bożej wychorowała się i wyszła z niebezpieczeństwa, lubo się dymnica nie przepukła, ale tak stopniowo zniknęła”. Dziwna, „nie tylko że powietrze nie zeszała, ale że ją wilcy nie zjedli w budzie słomianej”, gdzie przebywała ponad 3 miesiące. Dopiero 25 listopada, po pierwszych mrozach, proboszcz puścił ją „do kościoła między ludzi i do domu, lubo się przecie ludzie obawiali”.

Po paru dniach cierpien zmarła jednak w swym szalasiu Agnieszka, siostra Królikowej. Nikt nie chciał nawet koni pożyczyć, czemu pleban się nie dziwił, a szukając innego sposobu transportu przewiązał powrozami 2 żerdzi, by wciągnąć na nie trumnę. Do niesienia owych przedłużonych dla morowego bezpieczeństwa mar przywołał swoich parobków. Obiecali, wypili daną im dla zachęty gorzałkę, lecz nie przyszłi. „Ja zaś najbardziej tego pragnąłem, aby się przynaj-

## Jak pleban w Tenczynku zadżumionych ratował

Ks. Jan Kracik



„Hold pasterzy” — drzeworyt, XVI w.

czynku u znajomego proboszcza Krzysztofa Święteckiego i jego to właśnie uprosił o przysługę krewniaków (...).

Wsiadli tedy państwo Królikowie na brykę i ruszyli w drogę. Przybyli na miejsce w sobotę 26 lipca. Proboszcz oddał im do dyspozycji nową plebanię, sam pozostając w starej. Co działo się dalej, wiemy dzięki niemu, gdyż sam przedstawił szczegółowo w parafialnej księdze zmarłych, wydarzenia letnich miesięcy 1710 r. Warto piszącemu plebanowi zaglądnąć przez ramię, by przeszedł chociaż w jednej miejscowości, całkiem z bliska, losy uciekających przed czarną śmiercią.

### Co odnotował ksiądz pleban...

W niedzielne popołudnie kucharka gości Magda poszła zbierać czernicę. Z lasu wróciła chora. Ukryto ją w alkierzu, by nie niepokoić gospodarza (...). Najgorszego przypuszczenia nikt nie śmiał wypowiedzieć na głos. Wszak, tylko nie to! Przybyli przecież zdrowi i ze zdrowej okolicy! Królikowie uprosili zatem gospodynię plebańską, swą dawną służącą w Trojedynie, by nacierała Magdę gorzałką z mydłem, jak to na „zerwiśko”. We wtorek gospodyni odmówiła powtórnego smarowania; zauważyła u chorej guzy. Goście usprawiedliwiali się z płaczem przed plebanem: nie chcieli złem za dobre odplacać ani go „brać na swoje sumienie i zarazić, gdyby wiedzieli o sobie, że zarażeni są, ale że z bezpiecznego miejsca wyjechali”, niechże ich nie potępia.

Ks. Świętecki uspokoił przybyszów i nie tracąc głowy zaczął czynić co doń należało. Wypowiadał chorą, a zauważywszy na niej czarne plamki w okolicy szyi, przekonywał „aby ją z budynku na świat, na wentylacyjną wyprowadzono, gdyż już nie mogła chodzić, a maligna piekła. Chęć tedy płacić, aby kto ze wsi wyprowadził ją”. Na co pleban: „Najpodobniej aby już posmolony posmolonego się tykał. Gdy nikt nie chciał, skoczyłem i wziąłem kij, perswadowując aby o kiju wyszła, inaczej ja bym musiał prowadzić. Wyszła tedy o kiju, przy ścianie trzymając się. Ledwo co uszła, jak ostatni wgień, padła i Bogu ducha oddała”.

Proboszcz zaraz zawiadomił mieszkańców dworu oraz zamku, gdzie schroniło się wielu krakowian, by mieli się na baczności; a czynił to wołając z daleka, bez zsiadania z konia (...). Grabarz wybrał w polu głęboki dół, nikt jednak nie odważył się tknąć ciała. Ks. Krzysztof sam wciągnął zwłoki na jakiś pojazd, zaprzęgił konie i zajął się pochówkiem (...).

### „Morówka” szuka ofiar...

Każdego dnia rano i wieczorem przybysze wychodzili na ganek, a ks. Świętecki stojąc na podwórzu liczył z oddali czy kogoś nie zabrakło. W drugim tygodniu kwarantanny zaczęły słabnąć obawy. Wracało przekonanie, że Magdalena nie zmarła na morową chorobę. W najgorsze trudno uwierzyć. Atoli 11 sierpnia panna Słowakowiczówna poczuła się źle. Medycy przebywający w zamku zaordynowali zaocznie środki przeczyszczające, lecz „morówka się na nią wdała, jako powiada, na tonię i rósę poczęła, i duża urosła”. Nazajutrz dziewczyna wyspowiadałszy się „poszła o kiju z budynku do budy już wygotowanej, przed wieczorem ducha Bogu oddała” (...).

mniej byli przypatrzeli i nauczyli, iż mogliby także takowych chować bez niebezpieczeństwa (byle się nie łakomili na żadne rzeczy pozostałe), gdyby kto inny nie miał pochować ciała, aby psy nie szarpały albo wilcy, a w wypadku i mnie samego, aby mnie pogrzebali, gdybym zmarł”.

Trumnę udało się przenieść na cmentarz przy pomocy 9-letniego ministranta Fabiana Topolskiego i jego brata. Grabarz jak zwykle poprzestał na wykopaniu dołu. Ten okazał się za krótki. Trzeba było wejść w grób i wydłużyć go rydłem. Zmęczony proboszcz poczuł ból serca i pomyślał, że teraz już kolej na niego — „obawiałem się, abym nagłe nie padł”. Zaczął się modlić: „Panie, tyś z woli twojej przenaświętszej dopuścił do posługowania. Jeżeli na mnie kadencja, niech się dzieje wola twoja. Tylko jednak o to cię proszę, przynajmniej mi dotąd pofolguj jeszcze, póki tego ciała nie pochowam.” Udało się. „Gdy tedy nie padam, a przecie coś serce kole, poszedłem znowu w targ z Panem Bogiem. Panie, pofolguwałeś mi, żem już pogrzebił ciało, pofolguj jeszcze, uszak dzień niedziela, dzień twój Pański, niechże Mszę św. wprzód odprawię, i dla parafianów i dla mnie”. Kazał zaraz dzwonić na ludzi, by zaczęli celebrawać wcześniej niż zwykle. Bał się, że inaczej nie zdąży. Zdażył. Tym razem nie przyszła jego „kadencja”. Miał przed sobą jeszcze 17 lat. Ale wówczas, gdy szamotał się z trumną i sądził, że to już tylko godziny, chciał wytargować po kawalczku przynajmniej trochę. Jeśli przypomina to biblijną scenę z Abrahamem obniżającym stopniowo aż do 10 liczbe sprawiedliwych potrzebną dla uratowania Sodomii przed zagniewaniem boskim (Wj 18, 22—32), to nie przypadkiem. Ks. Krzysztof należał do narodu wybranego, a chrzest przyjmował w Stopnicy w wieku 13 lat. (...)

### „...aby się lud nie mięszał w kościele”

Niedzielną mszę sprawowana była pod zadaszeniem na pagonku, „a parafianie zewsząd z daleka widzieć mogli na polach klęcząc, a nie mięszając się”. Wprawdzie łatwiej odprawiać „w czasie moru, jako sobie pozwalali niektórzy celebrując przed kościołem dla ostrożności, aby się lud nie mięszał w kościele”, lecz zbyt wiele wymaga to oględności. Proboszcz obmyślił nie tylko praktyczny sposób na osłonięcie przed wiatrem ołtarza i świec, ale i na własne ciało: „grób mój na teźże górze był w pogotowiu pod tymże dachem głęboko wybrany, aby nie pracując mogli mnie i żerdzią jaką w tenże dół dół zepchnąć, gdybym był padł i umarł” (...).

Sam opiekun zadżumionych łącząc wierność obowiązkom z rozumą, znosił cierpliwie eremickie warunki życia. Miał on dla siebie „szopkę, a raczej strzechę do dachu cmentarzewego przysposobioną, gdzie siadał, pisał i jadł, jako w refektarzu, a zaś w podwórku plebańskim budę zwyczajną jako sypialnię. Miałem sobie już naczynia: tyżkę, talerz, miszkę i drugą, czarkę, garczki, skłenicę i cebrzyk, w którym sam naczynia umywałem po obiedzie i wieczery”. Posiłki i wodę przynosił Fabian, ale „miałem wprzód odstąpić precz, a on stanąwszy po wietrze z daleka i z góry, ze swego naczynia w moje przekładał albo przelewał”. Tak samo odbywało się napełnianie kubka wódką, wypijaną przez jego gomościa rano i wieczorem za radą przyjaciół jako medykament. Alkohol trzymał chłopiec pod kluczem w swej izdebce, gdyż pleban nie brał trunku do swego szalasu, „aby kto łakomy z pospólstwa i teraz, i przed śmiercią moją, albo po śmierci mojej nie zaraził się”.

### „Pan Bóg dziwnie niepojęty...”

Dumając nad losami swych gości ks. Świętecki dziwił się, nie inaczej niż jego współcześni, jak nieprzewidzianie uderza czarna śmierć. Ścięła oto tak szybko młodą i zdrową pannę Katarzynę nie szkodząc ani gospodyni, co smarowała chorą kucharkę, ani czeladzi, co to nie zachowywała wszystkich zalecanych środków ostrożności. Również pan Królik z żoną, staruszkowie, chociaż „wyszli z budynku na wentylacyjną, miasto budy do stodoły”, pomimo mroźnych wiatrów nie zachorowali, odjeżdżając 19 października. „Tak to Pan Bóg dziwnie niepojęty, że młodzi śmierci nie uszli, a przed temi grzybami starymi śmierć jakby uciekła”. Albo choćby taka Elżbieta, ich służąca — stara, chorowita. „Rumieniec na niej jakoby na samej śmierci, aż niemiło było na nią i wejrzeć, bo się zdała jakby z grobu wylazła po kogo innego. Cudowna rzecz, nigdy tu nie zachorowała przez wszystkie czasy”, pozostając stale w budynku. „Ja jednak co dzień rano i w wieczór odwiedzałem ją przecie i nie brzydziłem się nią, bo dobra dusza była i zawsze na dobry dzień i dobrą noc pytałem się czy żyje; jednak to nawiedzenie było z daleka, bom się jej przecie bał, ale i ona mnie sto razy bardziej, żebym jej nie był grobarzem”.

Rozumiał ksiądz pleban również, dlaczego nikt nie chciał być jego golibrodą, „i wiem czemu, bo się każdy parafianin mnie lubo pasterza swojego bardziej bał niż wilka”. Zdumiewało go to, co dla innych była oczywistością czy przedmiotem rozszczeń: „Tego zaś nie wiem, czemu mnie śmierć morowa nie zgoliła kosą, ale dowodnie zaś twierdzę za pewne, żem konserwowany został lubo grzesznik ze wszech najwiewierutniejszy, z jedynego i niepojętego i niezbrodzonego miłosierdzia Bożego”. Nie zrywał się też ks. Krzysztof na swych uciążliwych lokatorów — „nigdy nie narzekatem nic a nic na to państwo, ani nawet w indygnacji amim kiedy pomyślił, mając to za wolę Bożą, a o tom tylko zawsze żebrał, abym się według niej sprawował”. Goście natomiast „turbowali się o mnie zawsze, i dla mnie i dla siebie, że oni mi sprowadzili powietrze”.

A tak naprawdę to nie jest całkiem pewne kto kogo zaraził. W maju i czerwcu 1710 r. w tenczyńskiej karczmie i sąsiednich domach zmarło 10 osób z bardziej czy mniej wyraźnymi znamionami zarazy. Proboszcz zapoatrywał ich i grzebał. Jeśli to on stał się nieświadomym nosicielem śmierci, zmienia to jedynie kierunek przenikania bakcyli, nie zaś moralną rangę dokonania ludzkiego.

# Dokąd (z nami) idziesz, Panie?

(CIAĞ DALSZY ZE STR 1)

Śli mi wolno pokornie ci radzić: nie trudź się tak, przecież jesteśmy tak słabej kondycji, że to aż boli.

Nie wiem, czy i narody, podobnie jak jednostki, rodzą się pod jakąś gwiazdą. Jeśli tak, to pod jaką? Bledziutka gwiazdka urodził się mój naród? Naród, który w swym znaku heraldycznym, w duchowym herbie nie miał za patrona ani świętego króla, ani świętego wojewody, ani innego czcigodnego zabiłki. Naród, którego patronką była od niepamiętnych czasów „tylko” Matka Boska. Matka — zważajcie. Na czym właściwie polega mądrość trawy? Na tym, że jakkolwiek wypasiona i zdeptana przez woły, niezauważalnie, po cichu i z uporem podnosi się? Czy to nie jest dla dziejów zbyt mało? Nie ryzykuje przy tym nieustannie tego, że kiedyś zostanie zdeptana tak, iż nie podźwignie się więcej? Bo gdzie są te setki tysięcy jej dzieci, które ta matka straciła już raz na zawsze? Jak długo wytrzyma jej płodność i zdolność regeneracji? Ona także ma widocznie swoje granice. Zwłaszcza gdy ten, komu patronuje, swoich granic nie miał. W ramach instynktu samozachowawczego nie tu przecież solidnie nie funkcjonowało. Tylko solidnie sytuowany oddział strażaków, który gasił to, co nie paliło się.

## Karta przeciw narodowi

**A** naród? Jak to wszystko przedstawiało się w jego pocziwych oczach? Zaledwie zdążył na zakręcie historii wyprostować kark i zażądać podstawowych praw gdzie indziej oczywistych — a już przeciw jego żądaniom unoszono jakieś inne wzniosłe ideowe tarcze, których racje miały być bardziej uniwersalne niż jego nie dokończony alfabet bytu narodowego.

Przez czterdzieści lat taką tarczą, o którą się wszystko rozbijało, był internacjonalizm proletariacki. Tą naznaczoną kartą grano przeciw narodowi, który w republice nie zdążył się jeszcze nawet ogrzać. Kiedy tylko Béla Kun w tysiąc dziewiętna-

stym roku zgromadził swoją proletariacką armię — nawet nie zabezpieczając sobie władzy na Węgrzech — ruszył z tym wojskiem na południową Słowację, żeby pod rozwianymi sztandarami internacjonalizmu przywrócić ją Węgrom. Prawdopodobnie liczył na to, że gdyby mu się powiodło, to Węgry zszokowane wynikiem traktatu wersalskiego przyjęłyby go jak zbawcę narodu. Niewykluczone, że tym traktatem zszokowany był i on.

Inna karta internacjonalizmu, znacząca na odwrotnej stronie, sprawiła, że po 1948 roku i przez następnych dwadzieścia lat umieliśmy być jedynym socjalistycznym państwem, które — choć kilkunarodowe — nie było nawet dla zachowania pozorów formą federacji. Jakie możliwości otworzyła ta karta przed zamaskowanym czechosłowakizmem, czeską dominacją, można udokumentować arogancją i blażestwem Antoniego Novotnego. Można, ale nie będę wchodzić w szczegóły. Nie chce jątrzyć, nie jestem szarlatanem i nie zależy mi na poklasku krajanów. Chodzi mi o problem szerszy.

## Przegrać przeszłość, wygrać współczesność

**P**otem to wróciło. Gdy po odejściu Novotnego w 1968 roku znowu zaczęto formułować nie zrealizowane postulaty słowackiej tożsamości, ze wstrząsającą precyzją zareagowano uniesieniem kolejnych, wznioslejszych ideowych tarcz, demokracji. — Najpierw demokracja a potem federacja — wolano w stronę Słowacji. Byłoby to niemal groteskowe, gdyby czas, w którym nastawiono te tarcze, nie wywołał takiego rozgoryczenia i nie zmuszał do zadawania sobie pytań: czemu jest właśnie tak?

Albo dziś: czyż nie powtarza się wszystko? Czy kolejna tarcza nie nazywa się europejską integracją? I czy nie pojawia się w czasie, gdy naród słowacki szczególnie żywo uzmysławia sobie niepełny byt narodowy i nierówne warunki koegzystencji? Nowa tarcza znowu stylizuje się na coś, co znakomicie wyprzedza nie donoszony dzie-

więtnasty wiek narodu, a on, naród, oko w oko wobec tego problemu ma zagrać rolę opóźnionego w rozwoju prostacka, który nie zrozumiał. Ale on zrozumiał, zrozumiał! Nawet i to, że gdyby odrącony przez postęp w rozpaczy znowu zdecydował się szukać oparcia w jakimś ruchu wpatliwego autoramentu, historia zwróciłaby mu to z nawiązką. Znowu za karę postawiono by go na pół

zrzucić im w twarz, że Algier to nie Francja.

Przesady są cięższe niż kamień młyński. Lecz nie ma innego wyjścia jak przełamanie ich. Także Francuzom udało się w końcu to najtrudniejsze z ich zwycięstw, zwycięstwo nad samym sobą — i wygrali. Lepiej jest przegrać przeszłość i wygrać współczesność niż rozczulić się nad przeszłością i przegrać współczesność i przy-

Milan Rufus

## GÓRALE

Wysoko nam, Boże, wysoko  
położyłeś stół. Nim sięgniemy tam,  
pocimy krew i sól z nas wycieka.  
Sól, na którą nam często nie stanie.

O, wywyższyli nas, Chryste Panie...  
Tak, tak... wywyższyli człowieka.  
O miarę krzyża, który go nie minie.  
A drzew na krzyże dość jest tam  
i na kołyski.

Kraj mój surowy i okrutny,  
a jaki bliski!

Koszula zgrzebna przylgnęła do ciała  
stuletnim potem.

Już jej nie zdejmę.

Już pójdę w niej. Tak na leżąco, w dole.

Od spodu przegrzebywać ziemniaczane pole.

wieku do kąta i dzień w dzień wypominano by mu jego winy.

Raz jeszcze przywołuję pytanie: dlaczego tak jest? Czy jest w tym obiektywna konieczność historyczna tego właśnie państwa, czy historii w ogóle? A może na tę wysoką grę zdecydowano się z całą determinacją, gdy o nas chodziło. Dlatego, że jej ojcem duchowym był nierządek w dziejach przesąd? To określenie odbiera ciężar gatunkowy samemu pojęciu, ale przesąd może być potwornie ciężki i może swoim ciężarem zmiążyć tego, kto go dźwiga. Jak kolia, która bywa tak ciężka, że robi się z niej jarzmo. Wiadomo przecież, że Francuzi swego czasu posunęli się do kilku zamachów na własnego wspólnego prezydenta, który miał dość mądrej odwagi, by

szłość. Na końcu drugiego tysiąclecia nie utrzyma się dłużej coś, co zasada się na nierówności części składowych, faworyzującej jedną z nich. Dowody na to burzliwie rozgrywają się na naszych oczach.

## Wielka historia odpuszcza wielkim

**W** tym zamieszaniu popelniliśmy już niemało tragicznych błędów i nasz gniewny czy pełen lęku ryk nie brzmi sympatycznie. Czasem i my nie stajemy na wysokości zadania. Lecz wielka historia niczego nam nie daruje, wielka historia odpuszcza tylko wielkim. Nie należymy do nich, więc własne plewy musimy sobie wydmuchać sami, inni by je nam wydmuchali razem z ziarnem. Każdy swoją historię tworzy głównie sam, po-

wiedziałem to już i obstać przy tym. Co sobie w niej popsuje, na ogół sam to robi. Mając świadomość tego właśnie, pytałem na początku pod jaką to błada gwiazdą urodziliśmy się.

I gdyby nawet prawdą nie ulegającą kwestii było to, że nie jesteśmy łowcami, ale łowionymi — cierpiętnicze rozżalenie nie wystarczy na tworzenie historii. Podobnie jak ślepy gniew Dzieje ię dzieją, ale przede wszystkim tworzą. Róbmy je mądrze nie zapominając przy tym, że polityka jest sztuką tego, co możliwe.

Jeżeli Słowacja po długiej przerwie zaczyna się też „z urzędu” modlić nie znam dla niej bardziej odpowiedniej modlitwy niż znana preghiera breve świętego Franciszka z Asyżu:

„Panie mój, daj mi dość odwagi, abym nie wyrzekł się tego, co możliwe. Dość pokory, abym nie żądał niemożliwego i dość mądrości, abym umiał odróżnić jedno od drugiego!”

Myślimy o tej modlitwie, bardzo jej dziś potrzebujemy. Odwagi jest nam dość. Bo odwaga, powtarzając za Matką, staniała. Ale mądrość pokory i pokora rozumu są droższe niż ropa, bo jest ich jeszcze mniej niż ropy. „Bliskowschodni” kryzys przebiega w tym sensie bezpośrednio w nas

A historia niepowstrzymanie idzie dalej. Weisć w kolizję z jej ogólnym ukierunkowaniem oznaczało zawsze w końcu przegrać. Ewentualne korzyści płynące z kolizji bywają później wysoko opodatkowane. Już przeżywalismy to i część tego długu płacimy cichcem do dziś. Ku widocznej satysfakcji naszych partnerów.

To bardzo trudne: dźwigać równocześnie dwa krzyże. Swoją własną krzyż i krzyż świata. Nie mamy jednak innego wyjścia jak udźwignąć obydwa. Ten pierwszy krzyż boli bardziej bezpośrednio. Ale osądzać nas będą według tego, jak niesiemy ten drugi. To jest dylemat w którym wisimy jak muszka w pajęczynie. Kto tę pajęczynę utkał? Jeżeli chcecie poznać prawdę, znajdziecie ją. Jeżeli chcecie wymigiwać się, macie tu wiele możliwości. Nasze postępowanie da wam po temu wiele okazji. Niestety. Ale nie możemy płacić za swoje błędy ceną zaparcia się siebie. Co żyje, ław... A my przecież żyjemy.



# Cenzura poza cenzurą

Zygmunt Hübner

W styczniu minęła pierwsza rocznica śmierci wybitnego twórcy teatru, reżysera Zygmunta Hübnera, w swoim czasie związanego również z krakowskim Teatrem Starym. Do ostatniej chwili Zygmunt Hübner pisał felietony, eseje i wspomnienia. Przygotowuje je do druku Wydawnictwo Literackie. A oto kolejny odcinek z tego cyklu. Autor pisał w czasie gdy działała jeszcze cenzura. Śródtytuły pochodzą od redakcji.

**Z** działaniem mechanizmu „cenzury poza cenzurą” spotkałem się wielokrotnie we własnej praktyce. Pozwólę sobie nieco szerzej opisać interwencje szczególnie w zamierzeniu perfidna, choć w rezultacie zakończoną połowicznym niepowodzeniem.

Byłem wówczas dyrektorem Starego Teatru w Krakowie. Sztuka Ernesta Brylla Kurdesz została wystawiona za zgodą miasta i urzędu cenzorskiego, po kilku jednak przedstawieniach w miejscowej gazecie partyjnej została rozpiętana nagonka na teatr i autora. Był

to rok 1969 i sztuka Brylla nie spodobała się temu ugrupowaniu, które właśnie uzyskało przewagę w partii. Ale właśnie był to rok 1969 i brzemienne w konsekwencje decyzja zdjęcia z repertuaru Teatru Narodowego w Warszawie Dziadów Mickiewicza (casus ten omawiam w innym miejscu) tkwiła jeszcze w świeżej pamięci.

## Szukanie kozła ofiarnego

**W**ładze miejskie Krakowa, które sztukę dopuściły do grania, znalazły się w kłopotliwej sytuacji. Aby po-

stuszenie spełnić wolę partii, a jednocześnie usprawiedliwić własną, niefortunna decyzję, postanowili starą zwyczajem obciążyć winą teatr. Ktoś wpadł więc na machiavelliczny zaiste pomysł, aby zdjęcia przedstawienia z repertuaru zażądał nie kto inny, lecz sam zespół aktorski biorący w nim udział. Trzeba przyznać, że pomysł miał pewne szanse powodzenia. Sztuka nie była najlepsza, nie cieszyła się większym wzięciem u publiczności i zespół był do niej nastawiony raczej niechętnie. Zwołano tedy w trybie nagłym zebranie zespołu wykonawców, nie uprzedzając o tym mnie, dyrektora teatru. Już to samo było wypadkiem bez precedensu. Aktorzy należący do partii zostali w dniu zebrania wezwani do Komitetu Partii i poinstruowani, jakie mają zająć stanowisko. Podobne działania w stosunku do działaczy związkowych wzięli na siebie Wydział Kultury Urzędu Miejskiego. Oczywiście nie udało się tego zachować w dyskrecji

Dialog tego, co rodzime i tego, co uniwersalne, niech stanie się drożdżami szkolnej humanistyki, wiążąc Polskę jak najściślej z duchowym obszarem Europy. Z myślą o potrzebach nauczycieli, boleśnie odczuwających brak niezakłamanych, nowoczesnych podręczników, „Dekada Literacka” rozpoczyna druk materiałów do wykorzystania w nauce przedmiotów humanistycznych w szkole średniej.

# Europa czy zaścianek?

Jan Prokop

Literatura polska chce należeć do Europy i chce się od Europy odróżnić. Pragniemy, żeby nas rozumiano, lecz chętnie podkreślamy swoją inność, niemal cudaczność (Miłosz). Nie bez kokieteryj zwracamy się do Europy z wyzwaniem, by wniknęła w nasze powikłane sprawy, choć jednocześnie nie sądzimy, by jej się to kiedykolwiek udało! Czy tak nie kochane dziecko zachowuje się wobec rodziców? Jesteśmy więc niezbyt kochanym dzieckiem Europy? Zanudzamy ją swoimi troskami i obrażamy się, gdy słucha z nieuwagą naszych dzieciennych pretensji?

Nasza literatura już w XVI w. czuła się odpowiedzialna za sprawy publiczne. Była to literatura raczej obywatelska niż dworska, interweniowała w debaty polityczne (Kochanowski) jak przystało w kraju, gdzie sejm a nie rządy absolutystycznego monarchy decydują o losach państwa. W latach upadku, w XVIII w. ona wołała o reformy, przygotowywała je i wspomagała prowadząc do Konstytucji 3 Maja 1791. Ten duch obywatelski ożywił będmie i pokolenie romantyczne urodzone po rozbiorach. Gdy w 1795 upadnie państwo poczucie narodowe schroni się do poezji: „pieśń ujdzie cało”, będzie strażniczką „narodowego pamiętek kościoła” — pamięcią przeszłości, ale będzie także buielką nadziei, zwiastunką rewolucji, gdyż tylko rewolucja obalająca trony spotów przywróci Polsce niepodległość.

## Z Napoleonem przeciw Metternichowi

W XIX-wiecznej Europie Polacy zwiążą się więc z ruchami przemian, przeciw siłom restauracji, równowagi, porządku. Z Napoleonem przeciw Metternichowi. Spotkamy ich na barykadach Wiednia, Berlina, Paryża, ale w sercach noszą nie tyle myśl o przyszłej utopii społecznej ile nadzieję odbudowania wolnej ojczyzny na fundamentach braterskiej solidarności szlachty i ludu, w oparciu o wierność rzymskiemu chrześcijaństwu. Nie zawsze będą zatem zgodni współpracować z konsekwentnymi rewolucjonistami Bakuninem, Markssem, Proudhonem. Partii europejskiego ładu wydadzą się groźnymi wyrotowcami, partii europejskiej rewolucji nieuleczalnymi tradycjonalistami, tkwiącymi zbyt mocno w skazanym na klęskę starym świecie. Siedząc „okrakiem na barykadzie” narażeni będą na ciosy z jednej i z drugiej strony, wyglądając rąntku z nieba, ze sprawy narodowej czyniąc sprawę Boską.

Religię nagna bowiem do uczuć patriotycznych, uczucia patriotyczne zaś przeycą religijnością „polityczną”. Gallias vicisti zawoła, na widok Chrystusa przychodzącego w zakończeniu po zwycięstwie złych proletariuszy nad niemal równie złymi arystokratami, bohater dramatu rewolucji — Nieboskiej komedii, natomiast właśnie w zwycięstwie Chrystusa widzi szansę przyszłości świata autor dramatu, Zygmunt Krasinski.

## Pytania o los wspólnoty narodowej

Takie oto jest przesłanie poetów pierwszej połowy XIX wieku: Mickiewicza, Słowackiego, Krasinskiego. Zaprezentowany w ich dziełach bohater romantyczny od rozterek jednostki wznosi się do pytań o los wspólnoty narodowej pogrążonej w żalobie „po wolności stracie”. Będzie cierpiał nie tyle z powodów osobistych jak zbuntowani przeciw społeczeństwu bohaterzy Byrona, co „za miliony”. Zapewniło to polskiej literaturze mocniejsze niż gdzie indziej związki z czytelnikiem. Poeta jak biblijny prorok w Izraelu obrawszy rolę duchowego przywódcy narodu bywa czczony jak na proroka przystało. Sprawadzenie pod koniec XIX w. prochów Mickiewicza z Paryża do Krakowa urosnie do wymiarów ogólnonarodowego święta.

Ale ten dług wobec narodowej wspólnoty, który przychodzi spłacać polskim pisarzom od Kochanowskiego do Herberta — mimo iż zapewnia szczególniejszą więz z odbiorcami, więz opartą na tożsamości losu — bywa niekiedy powodem

dramatycznych rozterek. Tak biblijny Jakub opierał się Aniołowi. Literatura polska jest uwikłana w nieproste dylematy. Zapewne te powikłania uchroniły ją od przemiany w patriotyczno-dydaktyczną czytankę dla młodszych klas. W najlepszych dziełach jest świadectwem przełamywania się indywidualnego losu i losu zbiorowości, ich dramatem i sporem właśnie jak walka Jakuba z Aniołem. Ten drugi biegun, literatura domagająca się suwerenności dla jednostki — jej prawa do bycia sobą poza rozszereżeniami narodowej wspólnoty — to Przybyszewski przynoszący do Krakowa „trucizny” berlińsko-skandynawskiej moderny, Zeromski zwykle wierny „sprawie polskiej”, ale i czasem skarżący się na zbyt wielki ciężar narodowych powinności paraliżujących wolność pisarza, Lechoń po 1918 wołający o powrót do roli poety i o porzucenie roli proroka, wreszcie Gombrowicz wyszydający stereotyp sarmackiej, barokowo-groteskowej polskości, zakonserwowany w establishmentie przedwojennej Rzeczypospolitej.

## Bycie Polakiem

Albowiem już sam fakt bycia Polakiem staje się czymś problematycznym. W ciągu naszej historii ileż to razy łatwiej było wyrzec się narodowej tożsamości niż ją utrzymać. Tożsamość narodowa stawała jako wybór, jako zadanie i projekt do urzeczywistnienia wbrew burzom i naporom, zadanie wymagające ofiary i samozaparcia. Nie było to łatwe dziedzictwo, z którego korzystałbyśmy opływając w dostatkach. Raczej „przeklęty los”, dramatyczne wyzwanie. By sprostać temu wyzwaniu trzeba nie ładu męstwa. Bycie Polakiem może więc jawić się poniekąd jako powołanie do heroizmu, do służby wartościom bez względu na szanse sukcesu, powołanie do „szaleńczej” — jak szarża husarii pod Wiedniem w 1683 — rycerskości, powołanie do obrony honoru — przeciwstawionych „kupieckiej” kalkulacji. Syn polskiego spiskowca, Joseph Conrad Korzeniowski, ten właśnie zespół cech, ten „kompleks honoru” — wierności przegranej sprawie — uczynił podstawą swoich angielskich powieści, choć sam porzucił nieszczęsny, pogrążony w klęsce kraj przodków jak później jego własny bohater lord Jim porzucający w niebezpieczeństwie statek, którego jest kapitanem.

Podobne dylematy staną zresztą przed niejednym polskim pisarzem. Ocalić swoją jednostkową suwerenność czy pójść na dno razem z narodową wspólnotą przysięgając jej klęskę jak orkiestra na tonącym Titaniku? Powiedzieliśmy wcześniej: wielu zbuntuje się przeciw stereotypowi polskości dostrzegając jego śmieszność, groteskową wręcz anachroniczność (np. Mrozek) i postawi autentyczność własnego powołania artystycznego ponad służbę pechowej, „przegranej” sprawie.

Podobne dylematy dręczyły także Rosjan: Nabokov ubolewa nad przekleństwem obowiązku „służby społecznej” ciążyącym nad pisarzem rosyjskim, który albo służy złej władzy albo walczy z nią w imię społecznego dobra, natomiast rzadko kiedy zdolny jest do wierności sobie samemu...

## Obowiązek „służby społecznej”

Alte dwa dzieła ostatniego dziesięciolecia, które być może postaną w pamięci przyszłości, *Mała Apokalipsa* Tadeusza Konwickiego i *Raport z oblężonego miasta* Herberta, w gruncie rzeczy wpisują się przecież w ramy owego „obowiązku służby”, choć podjętej bez staroświeckiego, romantycznego patosu, z dystansem ironii — zwłaszcza u Konwickiego... Bohater *Małej Apokalipsy* godzi się na ofiarę — samospalenie w centrum Warszawy — w imię obrony praw człowieka w Polsce, ale owa zgoda, jak najbardziej w duchu romantycznego ofiarництва, zaprezentowana zostaje w aurze ironii, dystansu, groteski uwydatniającej sui generis dandyzm: — niepełną, czy może raczej nienawiną — identyfikację z wartościami, którym się przeciwie oddaje hold. Bohater bowiem nie daje się zagarnąć całkowicie „Idei”, nie rezygnuje z jednostkowej suwerenności, z własnego „ja”, krytycznego, świadomego tragiczności, ale i śmieszności sytuacji, niezdołnego do ślepego rozpłynięcia się w tym, co narodowe.

Natomiast *Raport* Herberta możemy odczytać jako symboliczno-mityczny obraz poety towarzyszącego kosom wspólnoty (*Miasta*) wiernej duchowym wartościom naszej cywilizacji zagrożonym zalewem totalitarnego barbarzyństwa.

Oto oblężone miasto, oblężone od zawsze, walczące samotnie, skazane na przegrana, ale przecież wierne ludzkiej godności. Tej wierności nie złamie klęska. Nawet gdyby upadło miasto, nawet gdyby ocalał tylko jeden z jego mieszkańców, znak sprzeciwu siłom barbarzyństwa będzie przekazany dalej.

Dla polskiego czytelnika *Raport* to wiersz o Polsce i jej „misji”, ale w swoim przesłaniu wykracza on poza ten wymiar i podobnie jak *Dżuma* Camusa zrywa do obrony wartości bez względu na sukces czy klęskę. Jest przypomnieniem powołania do godności, a więc utworom o korzeniach ludzkiego losu zawsze i wszędzie.

Udziałem polskiego pisarza jest ustawiczny niepokój, niezgoda na siebie i na historię, w której tkwić musi po uszy. Wyrzuty sumienia dręczą go, jeśli wyżej niż dobro wspólne postawi własną drogę artysty, ale nie porzuca go poczucie winy, jeśli wybierze odwrotnie, marnując siły i talent poświęcane czemu innemu niż sztuka i jej transcendentne wezwanie ponad przypadłościami historycznego świata. Wśród tych napięć nie zabraknie mu na pewno paliwa i tematu twórczości. Jakakolwiek drogą by podążył, zawsze laskotać go będą mściwe Eumenidy, jego lament, grymas i chichoty oferują więc chciwym wrażeń widzom wciąż odnawiany spektakl.

aktorzy powiadomili mnie, co się święci, było już jednak zbyt późno na jakiegokolwiek działanie. Wchodząc na zebranie powiedziałem do zaprzyjaźnionego aktora: „Podajmy sobie ręce, póki możemy to zrobić bez obrzydzenia”.

## Manipulacje

Zebranie nie przebiegało jednak po myśli organizatorów: zespół nie dał się skaperować i poza jednym aktorem wypowiedział się za utrzymaniem sztuki w repertuarze. Wówczas rozsierdzony kierownik Wydziału Kultury oświadczył, że sztuka zostanie mimo to zdjęta na mocy jego decyzji. Decyzja była wszak z góry uzgodniona. I wtedy zdarzyła się rzecz bardzo zabawna. Jeden z aktorów, który o zebraniu został zawiadomiony w ostatniej chwili i nie miał pojęcia o zakulisowych rozgrywkach, a zatem przebieg zebrania traktował z pełną powagą, sądząc, że rzeczywiście głos zespołu przesądzi o dalszych losach spektaklu, wpadł w listną furję. Biedny kierownik Wydziału Kultury zapewne nigdy w życiu nie usłyszał tylu słów gorzkiej prawdy. Zdementowanie manipulacji, jaką władza chciała się posłużyć, nie na wiele się zdało. Decyzja pozostała w mocy, pozwolono

nam odegrać jedynie kilka przedstawień, na które bilety były już częściowo sprzedane. Nie muszę dodawać, że odbyły się one przy szczernej wypełnionej widowni, która entuzjastycznie oklaskiwała spektakl.

Co do mnie zaś, to pozostałem na swym stanowisku już tylko miesiąc. Kiedy zdjęto z prób następną sztukę, nie pozostało mi nic innego, jak tylko podać się do dymisji. Była ona oczekiwana i przyjęta z ulgą. Popelnilem błąd. Nie należało unosić się honorem lecz spokojnie poczekać na wywołanie. Ulatwiłem tylko zadanie moim przeciwnikom.

## Teatr i polityka

W roku 1981, gdy został w Polsce wprowadzony stan wojenny, teatry zostały zobowiązane do ponownej weryfikacji sztuk znajdujących się w ich repertuarze. Siedem utworów, w tym jeden Mroźka (*Ambasador*) i jednoaktówki Havla, nie uzyskały aprobaty i zeszyły ze scen warszawskich. Zbiegiem okoliczności trzy z nich znajdowały się w repertuarze prowadzonego przeze mnie Teatru Powszechnego. Urząd Kontroli (czytaj: cenzura) i tym razem nie miał z tym nic wspólnego. Decyzję — formalnie — podjął

Wydział Kultury Urzędu Miasta, któremu podlegały teatry. Uczciwość mechanizmu „cenzury poza cenzurą” jest oczywista. Dyskutując nad planem repertuarowym często nie wiem, czy twój rozmówca wypowiada się we własnym imieniu, czy też przekazuje tylko udzielone mu ogólnie instrukcje. Trudno w tej sytuacji o przekonywające argumenty. Znacznie gorzej, gdy interwencja następuje po premierze. Straty są wówczas trudne do odrobienia, rytm pracy zburzony. Nie wiem jednak, czy nie najgorzej, gdy teatr zostaje zmuszony do wprowadzenia zmian w istniejącym przedstawieniu. Autor w takim wypadku nie ma już oczywiście nic do powiedzenia, nikt go nie pyta o zdanie (mówiąc „autor”, mam na myśli twórców przedstawienia: dramaturga na równi z reżyserem).

Kastracja dzieła bywa bardziej bolesna niż zwykły zakaz. Upokorzenie artysty, udowodnienie mu, że jest tylko płatnym wyrobkiem zobowiązany wykonywać posłusznie, co mu karze zwierzchnik, to tylko jedna strona medalu. Jest i druga. Okaleczone przedstawienie wystawia gorsze świadectwo artyście, który nie ma nawet szans obrony, interwencja pozostaje bowiem

tajemnicą dla szerokiej publiczności. Musi on podpisywać swoim nazwiskiem coś, co przyjął jedynie pod przymusem i co nie daje właściwego pojęcia o jego możliwościach artystycznych, o jego intencjach lub odwadze myśli.

Taki jest efekt działania wszelkiej cenzury. Mimo to cenzura prewencyjna, która poprzedza premierę, a zatem — przynajmniej teoretycznie (choć zdarzało się to nieraz i w praktyce) — daje autorowi szansę bądź wycofania swego nazwiska z afisza, bądź wycofania dzieła (jeśli uzna, że interwencje idą zbyt daleko, burząc jego zmysł artystyczny i ideowy), jest uczciwsza, mniej drastyczna w swej istocie od cenzury ex post, odgórnej nakazu, który musi zostać wykonany. Odmowa równałaby się utracie pracy, wileczemu biletowi lub innym konsekwencjom. Świadomość tego stanu rzeczy bywa tak głęboko zakodowana, że przyjmuje się go w końcu jako rzecz oczywistą. Nie udało się — trudno, trzeba się podporządkować. I to jest w tym wszystkim najbardziej przerażające. (cdn)

**Czym jest kultura? Kształtowaniem uwagi. Udziałem w skarbach duchowości i poezji, nagromadzonych przez ludzkość w ciągu wieków. Poznaniem człowieka. Konkretym poznaniem dobra i zła.**

Simone Weil

**Jest to ogólną prawdą, że nic nie ma bardziej sprzecznego z dobrobytem i wolnością człowieka jak wielkie imperia.**

De Tocqueville

**Zli urzędnicy bywają wybierani przez dobrych obywateli, którzy nie idą do wyborów.**

Chicago Government Poster

# Polskie Campo Santo

Krzysztof Lisowski

Kiedy z początkiem lat siedemdziesiątych Stanisław S. Nicieja, znakomity historyk-biografista, profesor w Instytucie Historii WSP w Opolu, rozpoczął zbieranie materiałów do monografii cmentarza Łyczakowskiego, władze ówczesne uznały to za jego „prywatny zamach na nienaruszalność układów poczdamsko-jaltańskich”. Wkrótce Nicieja jako stypendysta pojechał do Lwowa, ale czekał tam całymi tygodniami na zezwolenie królestwa z archiwum i biblioteki. Nie próżnował jednak — w pojedynkę, z wiadrzem wody, drucianymi szczotkami, aparatem fotograficznym krążył po cmentarzu i przygotowywał dokumentację fotograficzną Łyczakowskiej nekropolii. Opowiadał po latach, po opublikowaniu w 1988 roku bestselleru wydawniczego, jakim okazał się „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie”, że przy sporządzeniu dalszej dokumentacji — być może do wydanej obecnie pracy — spotkał się z grupą lwowian, przybyłych po kilkudziesięciu latach z Londynu po raz pierwszy do rodzinnego miasta. Uznali, że profesor, namiętny badacz historii przypomina — z tymi akce-

soriami — bardziej cmentarnego stróża niż uczonogo. Wszyscy też okazali się czytelnikami jego prac, poświęconych problematyce lwowskiej, publikowanych zarówno w książkach, jak i „weryfikowanych” w formie druku poszczególnych ich części w miesięczniku „Opole” (artykuły z „Opola” były czytane i komentowane w formie listów, uwag, sprostowań czy dygresji — przez lwowian od Melbourne po Caracas). Gdy w roku 1986 zaistniała możliwość wydania monografii cmentarza, zgłoszono autorowi wyraźną sugestię: należy pominąć opis kwater Orłąt Lwowskich, nie komentować procesu profanacji, jakiego się tam dopuszczono. Warunek ten autor z konieczności przyjął. Jak pisze we wstępie obecnej publikacji: „W akapicie, lakonicznie informującym o losie cmentarza Obrońców Lwowa, polecono zmienić zdanie”: „Kwatery Orłąt na cmentarzu Łyczakowskim zostały po II wojnie światowej zniszczone” na „Ta część cmentarza Łyczakowskiego dzisiaj już nie istnieje”. Dzięki Bogu doczekaliśmy czasów, kiedy bez przeszkód i cięć cenzorskich mogła uka-

zić się druga część „Cmentarza Łyczakowskiego” — „Cmentarz Obrońców Lwowa”. Autor rusza śladami swych dawniejszych poszukiwań, ale koncentruje się na kwestiach dotyczących kwatery Orłąt na cmentarzu Łyczakowskim. Wprowadzeniem do dziejów budowy i unicestwienia tej unikalnej nekropolii jest zarys historyczny, przybliżający przebieg walk w obronie miasta, zaatakowanego i zajętego przez Ukraińców w dniach 1—22 listopada 1918 roku. Dopiero ostatnie trzy dni walk to okres odświeczy, kiedy to 19 XI rusza z Przemyśla na pomoc walczącym lwowianom wojsko polskie (oddziały piechoty, kawalerii, artylerii i saperów). 22 listopada rano cały Lwów był znów w rękach polskich, a oddział rtm. Romana Abrahama dotarł do Rynku i zawiesił na Ratuszu polską flagę. Już w pierwszych dniach grudnia 1918 roku zrodziła się idea założenia osobnego cmentarza lub kwatery na Łyczakowie dla poległych w walkach o miasto. 19 października 1921 roku „Kurier Lwow-

ski” podał wiadomość, iż konkurs urządzenia cmentarza Orłąt wygrał student Politechniki, również bohater bohaterskich zmagañ o Lwów, Rudolf Indruch. Jak był stan cmentarza po wojnie i repatriacji, dowiadujemy się zainteresowani od osób przejeżdżających przez miasto. Proces rozpadu i dewastacji cmentarza rozkręcał się powoli — od kilkunastoletniego całkowitego braku zainteresowania jego stanem ze strony władz sowieckich przez systematyczne niszczenie poszczególnych pomników i usuwanie polskich inskrypcji, po „kulminację” w roku 1971, kiedy to „na cmentarz Obrońców wjechały czolgi i spychacze. Zburzono kolumnadę. Przy pomocy metalowych lin i czolgow próbowano przewrócić pomnik Chwały i pylony, których fundament okazał się tak mocny, iż zamiar stał się niewykonalny. (...) Następnie buldożery wyrównały teren, przysypując gruzami z rozbitej kolumnady widoczne jeszcze gdzieś tam żołnierskie mogiły. Gąsienicami czolgow stratawały miejsce, gdzie znajdował się Grób Nieznanego Żołnierza”. W latach następnych w prasie i wydawnictwach debiutowych sprawa cmentarza Orłąt była strzeżona specjalnym zapisem cenzorskim, jak i zbrodnia katyńska. Dopiero w ostatnich trzech latach doszło do pierwszych oficjalnych dyskusji na temat renowacji cmentarza, a w maju 1989 ro-

ku władze miejskie Lwowa wyraziły zgodę na rozpoczęcie przez „Energopol” prac porządkowych na cmentarzu. Do lektury tego albumu zachęca nie tylko temat, rzetelność opracowania, wstrząsająca dokumentacja zdjęciowa. Jego głównym atutem jest pasja autora, interesująca narracja, udana próba spłacenia naszego moralnego długu wobec tej wielkiej, narodowej nekropolii, którą historia ostatnich powojennych dziesięcioleci skazywała na ruinę i zapomnienie. Stanisław S. Nicieja nie uznaje tej monumentalnej pracy za zakończoną — swój wstęp kończy apelem do czytelników książki: „Mam też świadomość, że tego rodzaju książka, opierająca się na wątkach biograficznych, nigdy w zasadzie nie może być definitywnie zakończona, gdyż rozproszenie materiałów archiwalnych jest wręcz nie do objęcia. Mimo usilnych zabiegów autora, kilkuset osób spoczywających na Łyczakowskim Campo Santo nie udało się wyrwać z kompletnego zapomnienia. Pozostaje jednak nadzieja, iż czas ujawni kolejne źródła, a czytelnicy pośpieszą z uzupełnieniami, o co szczególnie gorąco apeluję”. STANISŁAW S. NICIEJA: „Cmentarz Obrońców Lwowa”, Ossolineum 1990.

## Nierzeczywista rzeczywistość

Bogdan Rogatko

W latach siedemdziesiątych zarzucono naszej prozie — jak pamiętamy — brak współczesnego tematu, brak ostrego widzenia rzeczywistości, w której żyło ponad 30 milionów Polaków. Tymczasem Kazimierz Orłoś, autor należący do tzw. pokolenia „Współczesności”, urodzony w 1935 r., taką właśnie powieść, spełniającą postulat krytyki literackiej, ukończył w grudniu roku 1971, a więc dokładnie w rok po tragicznych wydarzeniach na Wybrzeżu. Bezpośrednio tematyka „Cudownej meliny” nie miała z tymi wydarzeniami nic wspólnego, ale sam potem przyznawał, w wydanym 10 lat później autokomentarzu pt. „Historia cudownej meliny”, że stały się one inspiracją natury politycznej. Wydawało się wtedy — przynajmniej niektórym z nas — że ponure czasy schyłku władzy Gomułki już się nie powtórzą, że otworzyła się przed Polską nie tylko perspektywa gospodarcza, ale i kulturalna. Wystarczyło kilka lat, by złudzenia przysły. Kazimierz Orłoś pragnął więc uwierzyć w to, że jego demaskująca „wypaczenia so-

cializmu”, jak się wtedy mówiło, powieść ukaże się w wydawnictwie krajowym. Ale wbrew tytułowi „Melina” nie chciała okazać się cudowną i w końcu została wydana bez pomocy cudu, choć w sposób jak na owe lata niezwykły. Nie istniał jeszcze w zasadzie „drugi obieg”, pozostawał więc tylko „obieg emigracyjny”. Kazimierz Orłoś nie był pierwszym, który taką drogę wybrał dla swojej książki, ale był jednym z dwóch pisarzy (obok Jerzego Andrzejewskiego) pozostających w kraju, który zdecydował się wydać powieść pod własnym nazwiskiem. Książka po bezskutecznych zabiegach o wydanie jej w „Czytelniku” ukazała się w roku 1973 w Instytucie Literackim. Czy była to decyzja kaskadera? Po kilkunastu latach, jakie od tego faktu minęły, Orłoś, mądrzejszy o doświadczenia Sierpnia i Grudnia 81, przyzna, że bywały chwile, gdy decyzi tej żałował, ale że nie była ona nie przemyślana, podjęta w stanie emocjonalnego wzbudzenia. Była to na pewno forma protestu, nawet manifestacji postawy niezależno-

ści, którą potem bardzo wysoko z moralnego punktu widzenia oceni Marek Nowakowski, jego kolega po piórze i przyjaciel (sam drukujący z początku w „Kulturze” paryskiej pod pseudonimem). Orłoś protestował nie tylko przeciw indywidualnej decyzji cenzury, ale również przeciw — bez przesady — zdegenerowanemu systemowi politycznemu. Gdyby „Cudowna melina” wydana została, tak jak autor planował, w „Czytelniku”, wywołałaby zapewne zainteresowanie i zamęczała nieco w środowisku literackim, może stała się na krótko skandalem politycznym. Ale przecież nie było to arcydzieło i przemieniałaby jak wiele innych powieści spełniających doraźne, publicystyczne zadania. Jak np. późniejsze, nieco podobne do Orłosiowej, powieści polityczno-obyczajowe Jerzego Wawrzaka i Michała Jagiełły. Tymczasem fakt jej ukazania się w Paryżu i jego dramatyczne dla autora konsekwencje nadały treści książki znamiona symbolu, otoczyły ją aurą legendy. Sam autor, wyrzucony z radia i literackiego pisma, zaczął pracować na zabitej deskami prowincji ja-

ko radca prawny przedsiębiorstwa budowlanego, nie rezygnując jednak z pisarstwa, tyle że drukował już wyłącznie za granicą, a potem w „drugim obiegu”. W roku 1979 zaczął z grupą znanych pisarzy i krytyków redagować pierwsze literackie pismo podziemne pt. „Zapis”. Napisał też jeszcze dwie opowieści: „Trzecie kłamstwo” oraz „Przechowanie” i tom opowiadań pt. „Pustynia Gobi”. Ale cień legendy Cudownej meliny przesłonił nieco jego późniejszą twórczość. W recenzji wydawniczej Witold Nawrocki twierdził, że Orłoś przedstawił „świat, który nie istnieje”, że zmitologizował rzeczywistość PRL, napisał baśń dla dorosłych, opierając ją na fałszywych przesłankach i wyciągając bezsensowne politycznie wnioski. Tymczasem pisarz czerpiąc z bogatego doświadczenia reporterskiego oraz licznych obserwacji życia na prowincji starał się z dokładnością dokumentalisty i talentem satyryka ukazać szarą rzeczywistość Polski prowincjonalnej. W „Trzecim kłamstwie”, które niedawno opublikowały „Iskry”, obraz tej rzeczywistości został zdecydowanie wyostrojony a zarazem uogólniony jako „realny socjalizm”. Pisarz trafnie spostrzegł, że właśnie na prowincji, w tzw. Polsce B, łatwiej było odkryć absur-

dalność tej rzeczywistości nierzeczywistej, przypominającej bardziej senne majski niż życie normalnych ludzi w cywilizowanym świecie XX wieku. Ta powieść, sprawiająca wrażenie, jakby była pisana z autopsji, pozbawiona jest już złudzeń i naiwności „Cudownej meliny”. Nie występuje też już w niej żaden współczesny Don Kichot toczący szlachetną walkę z wiatrakami prowincjonalnej niemożności. Przeciwnie, główny bohater daje się ostatecznie wciągnąć w środowiskowe układy i moralnie zdegenerować przez lokalną władzę. Ale świat Orłosia nie jest jednak pozbawiony zupełnie postaci pozytywnych, które nazywają, bez względu na konsekwencje, złe po imieniu. Taki jest były akowiec Socha, nie ukrywający swoich krytycznych wobec komunistycznego ustroju poglądów, taki jest też młody inżynier Radecki, który szybko się przekonał, że przynależność partyjna wcale nie pomoże w walce z korupcją. Powiedzmy jednak otwarcie: pisane przed laty powieści Orłosia i dopiero teraz oficjalnie wydawane — są już tylko raczej dokumentami epoki niż literackimi rewelacjami. Co nie znaczy, że nie należy ich udostępnić szerszym rzeszom czytelniczym. \* KAZIMIERZ ORŁOŚ: „Trzecie kłamstwo”, „Iskry”, Warszawa 1990.

## CZYTADŁA

„Alianci” Jarosława Abramowa-Nowerłego to pierwsza polska próba naśladowania niezwykle popularnego na Zachodzie gatunku. Uprawiają go głównie Forsyth, Ludlum, Follett i Clancy. Jest to typ powieści sensacyjnej, której fabuła skonstruowana jest tak, iż

wydaje się należeć do rzeczywistości, a nie do fikcji. „To mogłoby się zdarzyć naprawdę” — głoszą autorzy tego typu książek. Akcja ich powieści podąża za losami głównego bohatera (lub bohaterów), ale bardzo często trafia prosto na Kreml, do najtajniejszych apartamen-

tów Białego Domu, do siedzib KGB, GRU, do CIA czy angielskiego wywiadu. I to się niewątpliwie doskonale czyta. Gdyby napisanie tego typu książki nie było związane z jakimś znaczniejszym wysiłkiem — sądzę, że mielibyśmy już wiele rodzimych „Ludlumów” i „Forsythów”. Ale na razie są tylko „Alianci” — a ich autor nie kryje, że do napisania książki potrzebował pomocy Krzysztofa Topolskiego: pomysłodawcy i twórcy dokumentacji historycznej. Żeby było dziwniej, pierwsza wersja powieści powstała w Kanadzie — gdzie akurat przebywał Abramow-Nowerły — i to w języku

angielskim. Po „okrągłym stole” autor stworzył szerszą wersję polską. Przygody, dość dramatyczne, załogi amerykańskiej superfortecy B-29, która przy musowo ląduje w ZSRR w 1944 r. i... nie może wrócić do domu — wciągają w lekturę prawie każdego czytelnika. Podobna sytuacja miała zresztą miejsce: startująca z Chin załoga B-29 po przy musowym lądowaniu w Rosji sowieckiej przetrzymywana była bezprawnie ponad trzy miesiące. Szło, oczywiście, nie o załogę, ale o samolot, któremu mogli „przyjrzeć się” radzieccy uczeni i konstruktorzy. W powieść wpisane są je-

szcze inne, niefikcyjne fakty: szkolenie załóg lotniczych do misji zrzucaenia pierwszej bomby atomowej, penetracja „projektu Manhattan” przez radziecki wywiad itp. Oczywiście, jest Biały Dom, jest Kreml i są tajne pomieszczenia agentów wywiadów, Ciekawa jestem, kto następny spróbuje ścigać się z zachodnimi mistrzami tego gatunku? Pierwszy polski autor zajął całkiem niezłe miejsce. RECYDYWISTKA JAROSŁAW ABRAMOW-NOWERŁY: „Alianci”, Zakłady Wydawnicze „Versus”, Wydawnictwo „Białowieża”, Białystok 1990, cena 16 tys. zł.

## ukryta ręka (XI)

John Barron

W tym odcinku swojej — głośnej na Zachodzie — książki z cyklu „literatura faktu” J. Barron wkracza na fascynujący teren: działania wywiadów w sferze militarnej, próby rozszyfrowania przez KGB i kradzieży projektów najnowszych rodzajów broni. Całość tłumaczyli: Barbara Sławomirska i Andrzej Nowak.

Być może oficerowie Linii X w Atenach nie posiadali dostatecznego przygotowania i nie byli w stanie należycie ocenić tomu, który dostarczył im Kampiles. Być może też charakterystyka tekstu, jaką Rezydencja przesłała do Centrum, nie była dostatecznie jasna, a może i Sowieci wąpili w autentyczność dokumentu. Tak czy owak, Rosjanie chyba nie od razu zdali sobie sprawę z wagi propozycji Kampilesa. Przedstawiciel ambasady bowiem, z którym spotkał się w parku, wypłacił mu jedynie 3000 dolarów, za to usilnie namawiał do powrotu do CIA.

Jednakże w Centrum analitycy szybko wyłowili z dostarczonego tekstu szereg nader cennych informacji. Kampiles dostarczył bowiem podręcznik ujawniający dane na temat funkcjonowania satelity szpiegowskiego KH-11. Do tej pory Sowieci uważali, że satelity amerykańskie, podobnie jak ich własne, co jakiś czas zrzucają pakiety zdjęć, które należy przechwytywać w powietrzu lub odnajdywać na ziemi, a dopiero potem przewozić do laboratorium celem wywołania i dokonania analizy. Teraz, ku swojemu zdziwieniu, zdali sobie sprawę, że wszystko, co tylko widzą kamery KH-11, widzą również natychmiast analitycy w Waszyngtonie.

Podręcznik ujawnił rzecz jeszcze bardziej zadziwiającą. Od lat Stany Zjednoczone fałszowały wszystkie publikowane przez siebie zdjęcia satelitarne, tak aby wprowadzać Sowieców w błąd. Sowieci maskowali pociski transkontynentalne jako kominny w zakładach chemicznych. Dla wprowadzenia w błąd wywiadu amerykańskiego zamalowywali jednak stożki dziobowe tych rakiet, tak by istotnie wyglądały one jak otwory kominów. Otrzymał podręcznik powiadomienia jednak KGB, że kamery KH-11 są tak niezwykle sprawne, iż mogą przejrzeć nawet i ten podstęp, odnotowując dosłownie minimalne odpryski farby na zamaskowanych górnych częściach rakiet.

Mniej więcej w miesiąc później analitycy USA odnotowali nowy i niepokojący przejaw działania odpowiednich służb Związku Radzieckiego. Dokonywano bowiem niezwykle starannego kamuflażu, kryjąc dosłownie wszystkie rodzaje broni, chociaż porozumienie SALT I głosi, że żadna ze stron nie może się mieszać do „narodowych sposobów weryfikacji” drugiej strony — to znaczy zwiadu powietrznego — uciekając się do maskowania. Wówczas to właśnie USA otrzymała informację wywiadowczą, że KGB jest w posiadaniu podręcznika dotyczącego KH-11. Agenci FBI w całym kraju podjęli teraz śledztwo, ażeby móc sprawdzić, w jaki sposób KGB zdołał go zdobyć.

Po powrocie do Indjany Kampiles złożył owe 3000 dolarów na koncie bankowym swojej matki. Uważając się za niezwykle sprytnego szpiega, nie miał zamiaru dać się wystrychnąć na dudka. Gdyby się bowiem okazało, iż wpłacone banknoty są fałszywe, wówczas cała wina spadłaby na matkę, nie na niego.

Był również na tyle sprytny, że zdawał sobie sprawę, iż jeśli CIA zaakceptuje jego podanie o ponowne zatrudnienie, będzie musiał poddać się testowi prawdziwości, a wówczas nie uda mu się uniknąć standardowego pytania o kontakty z Rosjanami. Na wszelki wypadek oświadczył jednemu z funkcjonariuszy CIA, George'owi Joannidesowi, że skontaktował się z pewnym Rosjaninem w Atenach w celu szerzenia dezinformacji i że otrzymał od niego 3000 dolarów. Dzięki temu — twierdził — zdobył odpowiednie doświadczenia, przyjeżdżając w dalszych akcjach oszukania Sowieców.

Jednym z przejawów napaści Kongresu na CIA w latach siedemdziesiątych była ustawa zabraniająca agencji poddawania badaniom obywateli USA, chyba że szło o pracowników CIA. CIA zinterpretowała ten przepis jako uniemożliwiający przebadanie Kampilesa, ponieważ nie zaliczał się on już do grona jej pracowników. Toteż gwoli zebrania dowodów, które mogłyby potem zostać przesłane FBI, polecono Joannidesowi, aby nakazał Kampilesowi sporządzenie sprawozdania wyjaśniającego wszystkie jego kroki.

Przebadawszy wypowiedź Kampilesa, FBI wyznaczyło jednego ze swych najlepszych agentów do przesłuchania go i ostatecznie Kampiles przyznał się do winy. A chociaż później odwołał swe zeznania, ława przysięgłych sądu federalnego skazała go za szpiegostwo i, w chwili obecnej, odsiada wyrok czterdziestu lat więzienia.

Jeśli motywem działania Kampilesa był wybujały egotyzm, o tyle Davida Henry'ego Barnetta skłoniły ku KGB chciwość i desperacja. Jego przedsiębiorstwo upadło i Barnett, tonąc w długach, widział tylko jedną drogę ratunku. Pewnego niedzielnego popołudnia zatelefonował do domu radzieckiego attaché kulturalnego w Dżakarcie, aby później przekazać mu napisaną na maszynie notkę, stwierdzającą, że sprzedaje KGB wszystko, co tylko mu wiadomo na temat CIA, w zamian za 70 000 dolarów.

A miał dość dużo do opowiedzenia. Pracował w latach 1958—1963 jako agent kontraktowy CIA na Dalekim Wschodzie, a później został zatrudniony na regularnych zasadach. Po odsłużeniu dwóch lat jako tajny agent w Korei i spędziwszy dwa lata w kwatery głównej w Langley, został oddelegowany do Surabaya w Indonezji. Ponieważ CIA nie prowadziło żadnych akcji przeciwko przyjaznemu rządowi indonezyjskiemu, niewiele miał do roboty, z wyjątkiem rozpracowywania rezydujących tam Sowieców. Praca nie była zbyt trudna, a życie towarzyskie — przyjemne. Ale — ponieważ posada nie dawała specjalnych widoków na zrobienie kariery ani pieniędzy — Barnett w 1970 roku podał się do dymisji, by założyć własny interes. Niestety, towarzystwo zajmujące się przerobem morskich produktów spożywczych, a także wszystkie inne firmy, jakie zakładał, w końcu bankrutowały, a on zaciągał coraz to większe długi.

Jakkolwiek radziecki attaché kulturalny nie był agentem KGB, Barnett wiedział, że jest on człowiekiem inteligentnym, który przekaze wiadomość gdzie trzeba i wyznaczy mu termin następnego spotkania. I już następnego niedzieli oficer KGB imieniem Dimitrij, wiozący Barnetta samochodem z domu poprzedniego rozmówcy, omówił z nim zasady transakcji. Dimitrij słuchał uważnie, gdy Barnett przedstawiał swoje kłopoty finansowe, po czym wyznaczył mu spotkanie za dwa tygodnie, na terenie osiedla radzieckich dyplomatów. Tam Barnett wymienił nazwiska agentów CIA, których znał osobiście, a Dimitrij wręczył mu 25 000 dolarów gotówką.

Otrzymałszy od Dimitrija instrukcje i dodatkowe 3000 dolarów na koszty podróży, Barnett udał się w lutym 1977 roku do Europy i w Wiedniu spotkał się z oficerem KGB, który zawiózł go do jakiegoś budynku na przedmieściu. Trzej oficerowie z Centrum — Paweł, Mike i Aleksiej — czekali w dużym mrocznym salonie o zastłoniętych oknach. Na stole spoczywało coś, co przypominało kształtem duże metalowe pudełko. Siedząc po przeciwnych stronach stołu Barnett i Paweł założyli słuchawki oraz maski na twarz i rozmawiali w ten sposób, wykluczając możliwość podsłuchania rozmowy.

W ciągu następnych dziesięciu godzin Barnett zrekonstruował znane mu operacje CIA, a przy okazji wyjaśnił, dlaczego radzieckie pociski SAM-2 tak rzadko trafiały w amerykańskie bombowce B-52 nad Wietnamem. Aż do czasu, kiedy indonezyjscy wojskowi zdawali planowany przewrót komunistyczny w roku 1966, Związek Radziecki doświadczył Indonezję sprzętem wojskowym, czyniąc to w nadziei, że zdoła wciągnąć w orbitę swoich wpływów ten położony w strategicznym punkcie archipelag. Pewnej nocy pracownicy operacji CIA przedostali się do magazynu, gdzie przechowywano SAMy-2, wyjęli z jednego z pocisków system sterujący i przenieśli go do stojącej na zewnątrz furgonetki. Na samotnej plaży przeniesiono urządzenie na niewielką łódź, która wypłynęła potem w morze. O kilka mil od brzegu czekał już na nią statek, by dostarczyć przesyłkę do Stanów Zjednoczonych. Posiadanie systemu sterującego umożliwiło naukowcom z Sił Powietrznych wyposażeniu B-52 w środki przeciwdziałające, które w znacznym stopniu zmniejszyły efektywność SAM-2 i w ten sposób uratowały życie niezliczonym amerykańskim załogom.

Ta sama siatka CIA, pod kryptonimem HABRINK, rozpracowała projekty i zasady działania wielu innych broni sowieckich, łącznie z pociskami Styx, łodzią podwodną klasy W i niszczyicielami typu Ryga.

Podczas trzech dni przesłuchań w Wiedniu Barnett przekazał KGB dane osobowe co najmniej stu agentów i oficerów, z którymi zdarzyło mu się pracować na Dalekim Wschodzie i w Waszyngtonie. Podał również nazwiska wielu oficerów KGB, których CIA uznała za potencjalnie podatnych na werbunek.

Wszystko to stanowiło wartościowy materiał wywiadowczy i KGB chętnie wypłacił Barnettowi 15 000 dolarów jako część sumy, której wcześniej zajął. Jednakże Barnett aż przez siedem lat nie miał dostępu do żadnych tajemnic CIA, toteż spora część jego informacji była już przestarzała. Nie miał wszak teraz dostępu do żadnych istotnie ważnych danych. Dla KGB jego wartość kryła się jednak nie w przeszłości, a w przyszłości, i nie w Indonezji, a w Waszyngtonie. Toteż zaczęło go usilnie namawiać, by starał się o pracę w CIA, w Biurze ds. Wywiadu i Badań, w Agencji Wywiadu Obronnego, w Zarządzie ds. Nadzoru Wywiadu Białego Domu lub w innej, podobnej instytucji.

Zapewniając trzech Rosjan, iż zdoła się na powrót włączyć do tajnych służb USA, Barnett odleciał do Dżakarty, a w marcu Dimitrij wręczył mu 30 000 dolarów, sumę dopełniającą owe wcześniej ustalone 70 000. Dwa razy, podczas lata 1977, udawał się do Waszyngtonu w poszukiwaniu pracy, za każdym razem otrzymując 3000 dolarów na koszty podróży. Wśród urzędników rządowych, do których się zwrócił, znaleźli się David Kenny z Departamentu Stanu, Joseph Dennis z Zarządu ds. Nadzoru Wywiadu Białego Domu i William Miller, dyrektor ekipy Senackiej Komisji ds. Wywiadu.

Kiedy Barnett powrócił do Dżakarty, Dimitrij znowu polecił mu szukać pracy w CIA i wręczył 6000 dolarów z myślą o kosztach przeprowadzki do Waszyngtonu. W listopadzie oficer KGB z Rezydencji w Waszyngtonie, Władimir Popow, przyleciał do Dżakarty przez Moskwę, by pouczyć Barnetta co do tajemnych sposobów porozumiewania się w Stanach Zjednoczonych. W ostatnią sobotę każdego miesiąca Barnett miał zajmować miejsce w jednej z wyznaczonych budek telefonicznych w Annadale w Wirginii i czekać na telefon od Popowa, noszącego pseudonim „Igor”. Gdyby telefon nie zadzwonił, miał czekać na niego nazajutrz po południu w kregielni. Gdyby zaś miał do przekazania jakies filmy lub dokumenty, miał je zostawiać w określonym miejscu, obok służby kanału w Maryland, wiadomą budkę zaś oznaczyć kawałkiem czerwonej taśmy, na znak, iż skrytka jest pełna. Rozmawiało im się z sobą łatwo. Oba byli zawodowcami, toteż znakomicie się rozumieli.

CDN.

## Pasywne ucho

Wojciech Szumowski

Jest sobie samotny chłopiec i ten chłopiec jest sam. W życiu chłopca było wiele smutku, ale o tym się nie mówi, bo ten chłopiec jest już duży. I tylko czasem, kiedy szare oczy chłopca stają się błyszczące i przeźroczyste, chłopiec myśli sobie — dość już tego — i myśli też sobie — uszy do góry! A uszy chłopiec i tak ma do góry, szczególnie prawe. Bo prawe ucho chłopca to jest takie bardzo ambitne prawe ucho. Na pewno znać wiele takich ambitnych prawych uszu, które chciałyby się wyróżnić. Cała ambicja chłopca jest w tym prawym uchu. Ale nie myślcie sobie, że chłopiec ma tylko to ambitne prawe ucho. O nie! Nawet jeżeli to jest tylko bardzo samotny chłopiec, zapewniam was, że ten chłopiec ma także lewe ucho, które zresztą jest bardzo czule. Ono, to lewe ucho, jest bardzo czule dla swojego chłopca. I to do niego chłopiec się zwraca gdy mówi sobie — uszy do góry! Tak właśnie mówi chłopiec do tego drugiego, a właściwie pierwszego i jedynego lewego ucha, jakie ma. Ale chłopiec nie zamieniłby swojego ucha na żadne lewe ucho na całym świecie. Bo ono, to lewe ucho, jest takie, jak cały chłopiec. Bo to jest bardzo pasywne lewe ucho i chłopiec jest do niego silnie przywiązany. Bo to jest bardzo samotny chłopiec i ten chłopiec jest sam.

## Myśli na karnawał

Ludzie dorośli nie różnią się tak bardzo od dzieci, jak im się wydaje. Posiadają więcej doświadczenia i zdolności orientowania się w pewnym dość ograniczonym zakresie zjawisk, który dzieciom jest niedostępny. Z chwilą, kiedy ludzie dorośli załatwią swoje prace zawodowe i chcą żyć dla samych siebie, chcą bawić się i wypoczywać, okazuje się, że nie tylko nie są mądrzejsi od dzieci, ale dużo głupszy. Jako uczeń szóstej klasy gimnazjalnej przesiadałem całe wakacje przy stoliku kawiarnianym w towarzystwie bardzo poważnych jegomościów i byłem bardzo dumny, że dopuścił mnie do swego grona. — Dzisiaj wiem, że byłem bardziej im potrzebny niż oni mnie, bo oni bez czwartego

do brydza byłiby się zanudzieli na śmierć, a ja umiałem się bawić sto razy lepiej. Wiedziałem znacznie wcześniej, że umiem bawić się lepiej i dlatego od tego czasu nie gram w karty. Żadna z zabaw ludzi starszych nie jest niedostępna dzieciom, a tysiące zabaw dzieci są niedostępne dla starszych. — Tańce, zabawy kotylionowe, orderki kotylionowe — wszystko to jest typowa zabawa dziecienna, łącznie z erotyzmem i intrugą. Jedynie snobizm i to wszystko, co w zabawie łączy się z

walką o byt, z troską o wpływy i o nawiązywanie użytecznych stosunków, jest niedostępne dzieciom, ale to wszystko psuje zabawę, a w każdym razie nie należy do niej i nie ma z nią nic wspólnego.

(„Uwagi teoretyczno-poznawcze” — Leon Chwistek)

Pojedyncze egzemplarze

„DEKADY  
LITERACKIEJ”

do nabycia  
w księgarni „Orlando”  
przy pl. Wszystkich  
Świętych 7

# Ziemski blask

Bertrand Russel

Nauka na Marsie dokonała niezwykle szybkiego postępu. Terytorium planety uległo podziałowi pomiędzy dwa wielkie mocarstwa, Alfów i Betów, i właśnie ich współzawodnictwo bardziej niż inne czynniki doprowadziło do tak ogromnego rozwoju techniki. W tym współzawodnictwie żadna ze stron nie zdobyła przewagi nad drugą. Było to przyczyną ogólnego zaniepokojenia, gdyż każda ze stron miała głębokie przeświadczenie, że tylko jej przewodnictwo może światu zabezpieczyć przyszłość. Pośród bardziej myślących Marsjan szerzyło się przekonanie, że bezpieczeństwo ich wymaga zdobycia innych planet.

W końcu nadszedł dzień, gdy zarówno Alfowie jak i Betowie mogli wystrzelić na planetę Ziemię pociski raketowe z załogą uczonych Marsjan, zaopatrzonej w środki umożliwiające przebywanie w odmiennym środowisku. Obie strony jednocześnie wystrzeliły więc rakietę, które bez przeszkód dotarły do ich ziemskiego celu. Jeden z pocisków wylądował w miejscu zwanym przez mieszkańców Ziemi „Stany Zjednoczone”, drugi w miejscu zwanym „Rosja”. Ku głębokiemu rozczarowaniu uczonych, przybyli oni nieco za późno na to, aby poczynić szereg badań, które mieli w programie. Natrafili na wielkie miasta w znacznym stopniu zniszczone, odnawiali jakieś duże maszyny, niektóre z nich były jeszcze w ruchu, zapasy żywności i wielkie statki błędzące bez celu po morzach. Wszędzie też widzieli ciała ludzkie, wszystkie jednak bez życia.

Uczni Marsjanie dzięki swemu superradarowi stwierdzili, że władze na Ziemi podzielone były między dwa obozy. Jeden z nich nazywał się A, drugi B. Spodziewano się powszechnie, że kontakt z dziwnymi istotami zamieszkującymi Ziemię przyczyni się do wzbogacenia marsjańskiej wiedzy. Niestety, życie na Ziemi wygasło na parę miesięcy przed wylądowaniem pocisków.

Rozczarowanie było zrazu ciężkie, rychło jednak kryptologom językoznawcom i historykom udało się rozszyfrować ogromne ilości dokumentów, które te dziwne istoty nagromadziły w ciągu swego życia. Zarówno Alfowie, jak i Betowie z Marsa sporządzili — każda strona dla swych własnych celów — obszernie sprawozdanie, omawiające ich odkrycia, dotyczące ziemskiej nauki i historii. Oba raporty różniły się od siebie nieznacznie. Jak długo bowiem dwa obozy ziemskie nie zostały zidentyfikowane, treść tego co w obozie A pisano o sobie i o obozie B oraz tego co w obozie B pisano o sobie i o obozie A, była lednakowa. Okazało się, że wedle opinii

każdej ze stron przeciwta strona dążyła do zapanowania nad światem i zagarnięcia władzy przez swych bezwzględnych urzędników, których jedni określali jako biurokratów, drudzy zaś jako kapitalistów.

Każda ze stron utrzymywała, że strona przeciwna reprezentuje bezduszny mechanizm produkujący narzędzia wojny, wbrew ludzkim dążeniom do szczęścia. Każda ze stron oświadczała głośno: „Nam, którzy bronimy pokoju, sprawiedliwości i prawdy nie wolno osłabiać czujności, ani zaprzestawać zbrojeń, zważywszy wrocie zamiary naszych przeciwników.” Oba sprawozdania Marsjan, sporządzone tak przez Alfów, jak i przez Betów, były do siebie tak podobne, jak opisywane przez nich dokumenty ziemskich antagonistów A i B. Każde z nich kończyło się ostrzeżeniem dla swego rządu. Brzmiało ono tak: „Ci nieokrzesani mieszkańcy Ziemi zapomnieli widać o lekcji płynącej z sytuacji historycznej, w jakiej się znaleźli, a mianowicie, że należy być silniejszym niż przeciwnik. Mamy nadzieję, że rząd nasz, któremu składamy ten raport, wyciągnie należne wnioski ze straszliwej nauki zawartej w katastroficznych, który się zdarzył na siostrzanej planecie”.

Rząd Alfów i rząd Betów wysłuchały raportów swoich ziemskich ekspertów i postanowiły zdobyć przewagę dla swego obozu. W niewiele lat po wprowadzeniu w życie tej polityki przez Alfów, jak i Betów, wylądowały na Marsie dwa pociski — Jowisza. Jowisz w tym czasie był podzielony pomiędzy Alfów i Betów. Jedni i drudzy wystali swe rakietę. Podobnie jak Marsjanie na Ziemi, tak i ekspedycja z Jowisza zastąpiła na Marsie obraz śmierci. Wkrótce odnaleziono też oba raporty Marsjan z pobytu na Ziemi i przedstawiono je swym rządowi, które zaakceptowały wnioski w zakończeniu obydwu dokumentów.

Kiedy jednak władcy dwu rywalizujących państw, Alfów i Betów kończyli układanie stosownych planów, każdy z nich doznał wstrząsającego przeżycia. Ukazał im się wymierzony ku nim palec, który wyjął pióro z ich zdumionych rąk i — bez ich udziału — wypisał te słowa: „Żałuję, że byłem tak łagodny w czasach Noego”. Podpis: Prezydent Kosmosu.

Słowa te zostały jednak wykreślone przez cenzorów po obu stronach bariery, a całe to zdarzenie utrzymano w najgłębszej tajemnicy.

przełożył:

Leszek Elektorowicz

Andrzej Zaręba przedstawia:



Krzysztof Kleśkowski

## HYDE PARK czytelników

Dziś w Hyde Parku debiutuje nasz Czytelnik aż zza oceanu, a dokładnie rzecz biorąc — Polak, pan ALEKSANDER BIEDAK, zamieszkały na stałe w Bostonie (więc i tam docieramy?). Oto wiersz, który nam nadesłał — a raczej „wierszokomentarz” do politycznej sytuacji kraju, oglądanego z oddali.

Spojrzenie przez ocean  
na przełomie roku 1990/91

Wodzom skłóconym rozum przysłania,  
chora ambicja, wielkie mniemanie,  
W każdym zespole ktoś przyoczajony,  
chytro podjuzda zwaśnione strony,  
Lecz zaślepieni Prawdy nie widzą,  
plują po sobie, plują i szydzą,  
Sprawy publiczne w szufladach leżą,  
wodzom zawistnym ludzie nie wierzą.

Wodzowie ślepi — ludzie skłóconii!  
Przecież się wokół Jeszcze czerwieni,  
Socfasyzm żyje, choć wyciszony,  
czeka na sygnał z wiadomej strony.

Ambicje chore do skrzyń pochować,  
twierdzą Wolność wspólnie budować,  
albo skończymy epokę nową,  
z sierpem na krłani, z młotem nad głową.

Boston, 28 grudnia 90

## KULTURA/PIENIĄDZE

	1989	1990	1991
średnia cena książki	1100 zł	12 000 zł	?
bilet do teatru	1500—2500	2500—3500	8000—12 000
bilet do filharmonii	300—500	2500—3000	3000—4000
bilet do kina	400—1500	4000—10 000	12 000
impieza estradowa	5000—8000	20 000	30 000 (?)

Dla porównania:

chleb	49 zł	2800 zł	2700 zł
bilet MPK	20 zł	600 zł	?

## Telewizja i życie rodzinne

Dorota Terakowska

Rodzima TV ofiarowuje nam COS czego nie jest w stanie dać nam żadna telewizja na świecie. Aż dziw, że do tej pory żaden z nowych prezesów Radiokomitetu nie wpadł na pomysł, aby brać od nas za TO dodatkowe pieniądze. A co TO jest?

Na całym świecie, a zwłaszcza na Zachodzie, telewizja dba głównie o profesjonalizm: informacji, publicystyki, filmu — i własnych pracowników. Nasza telewizja nie zapomina o dodatkowych atrakcjach: jej prezenterzy i dziennikarze powoli, niepostrzeżenie, lecz w sposób nieugięty, wciągają nas w orbitę swoich prywatnych spraw i sprawek, wewnątrzredakcyjnych kłótni, politycznych i nie tylko sympatii i antypatii. W efekcie stają się nam bliscy jak członkowie rodziny.

Na przykład: pan Artur Bober na przestrzeni paru miesięcy dawał nam do zro-

zumienia, że jego program „Listy o gospodarce” a i on sam, jest „podpadnięty” u prezesa i kto wie, czy on, pan Bober, nie będzie zmuszony się z nami pożegnać. Obecnie, także na wizji, wyraził radość, że podpadnięty już nie jest, a nawet wręcz przeciwnie. Kłopoty miała za to pani Jakubowska z „Wiadomości”, więc — na naszych oczach — wzięła torebkę i wyszła ze studia. Wrócił za to pan Reszczyński i powiedział radośnie: „Znowu jestem z państwem”, dając do zrozumienia, że wcześniej go nie było, bo miał złe układy ze starym kierownictwem.

Z niecierpliwością czekam kto następny podzieli się z nami — oczywiście na wizji — swoimi kłopotami. W ten sposób między suche informacje o wojnie w Zatoce Perskiej i agonii sowieckiego imperium nagle ukrada się ciepły akcent prywatny i ubarwia całość.

Pod wodzą dwóch ostatnich prezesów nasza telewizja przekształciła się w wielki serial pt. „Labirynt” — i z napięciem śledzimy co będzie dalej: kto pozałł się, że go nie lubi nowy prezes, a kto jest tego prezesa pieczęcią i da nam o tym znać, kto zabierze torebkę ze studia, a kto przewróci krzesło, i wreszcie kto jako pierwszy przejdzie od słów do rękoczynów.

Dzięki nowym, oryginalnym obyczajom prezenterów i dziennikarzy TV każdy dzień programu niesie z sobą ekscytujące niespodzianki, a rodzinne życie telewizji przeżywamy już niemal tak jak rodzinne życie Carringtonów. W dodatku za serial „Dynastia” musimy płacić — a te niespodziewane efekty mamy za darmo.

Tak trzymać!

**DEKADA LITERACKA** — tygodnik kulturalny. Wydawca: Spółka Wydawcza „Gazeta Krakowska” Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nysek, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska.